Nr. 14. Poznań, Niedziela 7-go Kwietnia 1901 r. Rok V.



*Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie **1,25 mk.**; na poczcie w Austro-Węgrzech **1 kor. 47 hal.***
Pod opaską:** w Niemczech **1,90 mr.**, w Austro-Węgrzech **2 kor. 30 hal.**, za Oceanem **1 dolar 25 cent.
Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

Premia

nadzwyczajna dla wszystkich Czytelników „Pracy.“

Krok naprzód.

A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?
Z czego słyną, kędy giną,
W jakim kraju i Dunaju?
A czy znasz ty, bracie młody,
Twojej ziemi bujne płody,
Twe kurhany i mogiły
I twe dzieje, co się ścmiły?

Aby z jednej strony wykazać, jaką moralną i materyalną siłą jest w społeczeństwie pismo, cieszące się poparciem i zaufaniem swych licznych Czytelników, — aby dać dowód, że przed stawianemi nam trudnościami nie ustępujemy ani kroku wstecz, lecz wciąż dążymy śmiało naprzód, — a z drugiej strony, aby pobudzić myślący nasz ogół do tem żywszego obznajmiania się z ziemią ojczystą, — postanowiliśmy wprowadzić do pisma naszego

wielkie ulepszenia.

Rozpoczynamy w kwartale bieżącym wydawnictwo szczegółowo opracowanych

map powiatowych

Księstwa. Całą doniosłość tego przedsięwzięcia oceni każdy, kto wie, że dotychczas nie było kart czyli map powiatowych

w polskim języku,

a nasz czytający ogół musiał w razie potrzeby z konieczności sięgać do map niemieckich i tolerować zniemczone nazwy polskie.

Nasze mapy pozwolą się obejść bez niemieckich nazw i przekształceń! W chwili, gdy w Poznaniu z wątpliwą dla publiczności wygodą pracuje takie „Uebersetzungsbureau“ czas już nam, Polakom, przypomnieć sobie, że sami popieramy germanizacyę starodawnych nazw polskich, skorośmy się nie postarali o

wydanie polskich map.

Całe Księstwo, to jest

42 powiaty

z osobna uwzględnimy na czterdziestu i dwóch mapach,

zaopatrzonych odpowiednim tekstem i objaśnieniami. Każda z tych map opiera się na ścisłych urzędowych niemieckich publikacyach i mapach z uwzględnieniem starych nazw polskich. — Zważmy tylko, że taka mapa niemiecka kosztuje sztuka w sztukę na każdy powiat po 1 m., a my damy Czytelnikom naszym

w jednym kwartale 13 takich map, jako bezpłatny dodatek do „Pracy“

przy skromnym abonamencie kwartalnym tylko 1 m. 25 fen., to znaczy, że za 1 m. 25 fen., które Czytelnik poświęci za „Pracę“ odbierze

13 marek z powrotem,

a raczej tej wartości

13 kart powiatowych

bardzo starannie opracowanych przez kartografów zaprzysiężonych, rządowych.

Kto więc tym razem „Pracy“ niezaabonuje sam się krzywdzi.

Nadmieniamy przytem, że po ukończeniu map Księstwa damy też jeszcze

dwie mapy poświęcone polskiemu wychodźtwu

w Niemczech, a mianowicie damy osobno

mapę polskich osad w Westfalii i Nadrenii,

a w drugiej zaś

mapę całych Niemiec z oznaczonemi osadami, gdzie przebywają Polacy,

Przy każdej mapie powiatowej

podawać będziemy szczegółowy opis i wiadomości, ile ziemi znajduje się w rękaah polskich, jaką ludność mają miasta i wioski, znajdą się też wzmianki o gorzelniach, mączkarniach, młynach, tartakach, cegielniach, mleczarniach i t. d. i t. d.

Praktyczna korzyść tego bije w oczy:

każdy nasz właściciel ziemski, każdy włościanin, lub powracający z wychodźtwa, chcący się poinformować, będzie mógł znaleźć odrazu wskazówki mu potrzebne; każdy

kupiec czy rzemieślnik,

przenosząc się w inne strony Księstwa, będzie mógł rozpatrzeć się w liczbie ludności okolicznych miejscowości, — zastanowić się, czy wobec np. wykupionych przez kolonizacyę obszarów będzie miał dość poparcia u swoich i t. d.

Lecz nietylko tym praktycznym celom służyć będą nasze mapy. My chcemy dać też coś

i dla ducha, i dla serca polskiego,

a tę idealną stronę uwzględnimy — dając

krótki pogląd na chlubną polską przeszłość

tych miejscowości, które dziś przechrzcili Prusacy na rozmaite „felde, walde lub witz,“

Pamiątki starodawnej przeszłości uwzględnione będą w opisach w najszersym zakresie.

Jakkolwiek kilku obznajmionych z przedmiotami pracowników już od kilku tygodni zajmuje się skwapliwie wydawnictwem tych map i opisami, to jednak zwracamy się do Szanownych Czytelników,

aby każdy zechciał nam nadsyłać opisy znajdującgch się w miejscu jego zamieszkania pamiątek przeszłości, ruin, historycznych kopców, kościołów, pochodzących z czasów polskich i t. d.

Chcemy sprawić, aby

dzieci dzisiajszego pokolenia

miały z czasem po ojcach swych chlubne świadectwo, że oni dbali o zachowanie pamiątek przeszłości i że pomimo całego huraganu germańskiego mieli dość ducha, aby z serdeczną myślą, zwróconą ku przeszłości, zachować od niepamięci te

cenne zabytki lepszych czasów,

od których ku prawdziwemu Polakowi bije jakby fala nadzieji, że

nie zginiemy!

A więc do pracy, Czytelnicy! Pamiętajcie, że pół wieku przejść może, zanim ktoś po raz drugi podobne przedsięwzięcia rozpocznie, więc o ile możności wszechstronnie trzeba je przeprowadzić! Nie odmawiajcie pomocy i wśród znajomych zjednywajcie przyjaciół dla tego planu.

Samo przygotowanie map, bez opisów kosztować będzie

kilka tysięcy marek,

więc niechże się za tę sumę jaknajwiększy kapitał moralny dostanie społeczeństwu.

Idziemy naprzód w tej wierze, że ten nowy krok nasz na drodze rozwoju zostanie należycie oceniony.

Nie powinno być w Księstwie ani jednego domu, gdzieby nie była czytana „Praca.“

Redakcya.

Zapowiadając dzisiaj opis W. Ks. Poznańskiego i jego powiatów, który rozpoczniemy już w następnym numerze, odzywamy się do wszystkich rodaków, ażeby nam dopomogli wedle sił do wypełnienia tego trudnego zadania, nadsyłając dane statystyczne i różne szczegóły swych miejscowości.

W przyszłym numerze podamy

mapę Wielkopolski

i ogólny pogląd Wielkiego Księstwa Poznańskiego, a następnie specyalną

mapę powiatu Gostyńskiego

z odnośnym opisem wszystkich miast, wsi, wiosek, osad i folwarków Gostyńskiego powiatu.

☞ Chodzi nam więc na razie tylko o opis powiatu Gostyńskiego. ☜

Potem przychodzi powiat Wschowski, następnie Krotoszyński, Kościański i t. d.

W każdym tygodniu dorzucimy jeden powiat dalszy, który ma nastąpić, by Szanownym Czytelnikom dać możność przygotowania i udzielenia nam informacyi dla zapowiedzianych powiatów.

Czując głęboko całą doniosłość tej miłości do rzeczy ojczystych, widząc płynące z niej korzyści nietylko pod względem narodowym, ale i ekonomicznym, powzięliśmy zamiar dania Rodakom do ręki, o ile możności, dokładnego obrazu geograficznego W. Ks. Poznańskiego z jego teraźniejszymi powiatami.

Jeżeli więc Szanowni Czytelnicy nie poskąpią nam wszelkich możliwych informacyi, to

dział ten stanie się poprostu pomnikowym,

a dla „Pracy“ i jej zwolenników jednym z najcenniejszych nabytków.

Szczególnie Wielebne Duchowieństwo i osoby w dozorach i reprezentacyach kościelnych zasiadające, prosimy jak najuprzejmiej, ażeby nam przesyłać raczyły wiadomości dotyczące świątyń naszych Pańskich, ich erekcyi, wiadomości o obrazach i pomnikach w nich się mieszczących, a dotyczących naszych przeszłości.

Dawnych i dzisiajszych właścicieli większych i drobniejszych majątków upraszamy o łaskawe cyfry co do ilości morgów ziemi ornej, lasów, łąk, pastwisk i nieużytków. Inteligencyą naszą miejską i wiejską prosimy o podanie nam wspomnianych podań ludowych w odnośnych miejscowościach, walk z najeźdzcami, o wiadomości o szańcach, okopach, o przechodzie wojsk, o dłuższym lub krótszym pobycie królów naszych, o urodzeniu i śmierci sławnych naszych mężów i t. p.

Każdy więc z Szanownych Czytelników, który jest w możności przysłużenia się sprawie, niech nam pod tym względem nie odmówi informacyi. Nie chodzi nam też wcale o jakiekolwiek staranne opracowanie, o jakąś całość, tylko o podanie faktu w prostych, krótkich słowach, gdyż my ten z różnych stron odebrany materyał tutaj dopiero powiążemy w całość i opracujemy starannie.

Bardzo pożądane byłyby też fotografie czyli podobizny miast i wsi i to na razie powiatu Gostyńskiego, Wschowskiego, Krotoszyńskiego i Kościańskiego, a mianowicie fotografie kościołów, klasztorów, pomników oraz podobizny zasłużonych obywateli, obrazy z bitw i potyczek i t. p. Po zdjęciu kliszy odeślemy te fotografie i obrazy z podziękowaniem z powrotem bez najmniejszego uszkodzenia.

Mianowicie pp. fotografiści amatorzy winni nam tu przyjść z pomocą przez zdjęcie różnych widoków i nadesłanie nam tychże. Jesteśmy gotowi pp. fotografistom z zawodu wynagrodzić za łaskawe nadesłanie nam różnych odnośnych fotografii etc.

Do panów fabrykantów, kupców i prze-

ymsłowców ślemy prośbę, ażeby, jeżeli to uznają za korzystne dla siebie, zechcieli nam łaskawie podać ściśle dane o swych przedsiębiorstwach.

Kończąc to nasze odezwanie się do Rodaków, zaznaczamy, że już w przyszłym zeszycie podamy ogólny pogląd W. Ks. Poznańskiego, a następnie rozpoczniemy opis Gostynia i tegoż powiatu i tak z tygodnia na tydzień postępować będzie powiat za powiatem.

Wydawnictwo „Pracy.“

Pobudka...

Jakiemże słowem, jakiem hasłem witać Was mamy w tym nowym kwartale druhowie-czytelnicy? Spotykamy się przy pracy, na polu ciężkiej, poważnej a mozolnej pracy nad wykształceniem politycznem ludu, nad odrodzeniem duchowem tych wszystkich członków naszego społeczeństwa, w których nie obudziła się jeszcze świadomość obowiązków względem naszej Ojczyzny.

A więc witamy Was tem słowem, jakiem się witają rolnicy przy pracy:

Szczęść Boże!

Witamy przedewszystkiem Was, starzy, wypróbowani przyjaciele, którzyście byli zawsze podporą „Pracy“ w złych i dobrych chwilach, którzyście nas wspierali zawsze życzliwą radą — otwartem, wylanem, polskiem sercem — słowem współczucia w złej godzinie — i czynnem poparciem na przełomie kwartału. W Was jest nasze oparcie moralne, z Wami razem idziemy do celu, Wy niesiecie dalej te hasła, które my Wam podajemy, tak jak dęby stuletnie powtarzają w głąb lasu echo pobudki rycerskiego rogu!

Was więc przedewszystkiem witamy! Zżyliście się z nami a my z Wami: przechodzi rok za rokiem, a w naszem piśmie ani energia, ani chęć do pracy nie krzepnie, bo w tych starych, wypróbowanych przyjaciołach mamy nienaruszalny kapitał żelazny. Czy pamiętacie, jak jeszcze nie tak dawno temu nasze pismo liczyło cztery — pięć tysięcy czytelników. Niedługo liczba ta się potroi, rośnie liczba czytelników, wzrastają wpływy pisma, zwycięża nasza wspólna idea polityczna! — A zawdzięczamy to w wielkiej mierze Waszej energicznej pracy, zawdzięczamy i temu, żeście, jako dobrzy przyjaciele, zawsze otwarcie wyjawiali swe zdanie redakcyi o sprawach bieżących. Dumni jesteśmy z tego, że wśród naszych Czytelników wielka część czuje potrzebę wymiany zdania i że dzieli się z nami swemi zapatrywaniami.

Zbliżają się dni jeszcze cięższe, jeszcze obfitsze w ataki na naszą narodowość; — chmury, co dziś zaściełają nasz polityczny horyzont, jeszcze nie prędko ustąpią; potrzeba więc w społeczeństwie tem większej spójności, tem żywszego przejęcia się ideałami społecznej zgody, odwagi w czynie, szlachetności w zamiarach.

Każdy z tych oświeconych, patryotycznym duchem przejętych Polaków, którzy te słowa czytać będą, niech wie, że przyszłość całego społeczeństwa i chlubna w dowody poświęcenia przeszłość żąda dziś od każdego z obywateli szczególniejszego poświęcenia się i pracy bezinteresownej w kierunku obudzenia poczucia narodowego w tych wszystkich sercach obojętnych dla dźwięku ojczystego języka, których niestety wśród nas jeszcze jest tak wielu.

Olbrzymie pole pracy przed nami, to prawda; lojalizm i pogodzenie się z istniejącym stanem rzeczy mrozi jeszcze tysiące serc; ale przecież mówi stare przysłowie, że „gromada — to wielki człowiek.“ Idźmy naprzód wszyscy gromadą, nie wadźmy się, pracujmy nad odrodzeniem narodowem naszego społeczeństwa, starajmy się zrobić Polaka z każdego „po polsku mówiącego Prusaka“ — a podołamy zadaniu. Każdy z nas ma przecież jakieś swoje kółko wśród którego działa i pracuje; niechaj każdy tylko w tem swojem kółku uczyni to, co wkłada na niego obowiązek obywatelski, a naszem będzie zwycięztwo.

Już przebąkują hakatystyczne pisma o prawach represyjnych przeciw Polakom, już posuwają swe żądania do tego, aby niewolno było nabywać Polakom ziemi i publicznie, na ulicy, w teatrach itd. mówić po polsku. Pewnie, że w tych żądaniach jest duża doza przesady; pewnie, że urzeczywistnienie ich oznaczałoby nowe złamanie konstytucyi, ale my Polacy, w stosunkach z Prusami zawsze powinniśmy pamiętać o tem, że Bismark powiedział o odwoływaniu się Polaków na obietnice królewskie:

„Sie sind keinen Pfifferling mehr wert.“

Kto usłyszał takie słowa, ten nie powinien wierzyć ani w konstytucyę, ani w żadne obietnice —

ten powinien tylko liczyć na własne siły.

A więc — obowiązek żąda od Was, Czytelnicy, rozwinięcia energii w posuwaniu naprzód tego świętego dzieła, które się nazywa odrodzeniem narodowem naszego społeczeństwa. Zwłaszcza w okolicach, gdzie germanizacya już twardą stopą stanęła, zdwoić trzeba usiłowania, aby jej tamę położyć.

Szerzcie gazety polskie,

rozszerzajcie „Pracę.“

Lud, co czyta gazety, lud, co działalność „Pracy“ umie ocenić,

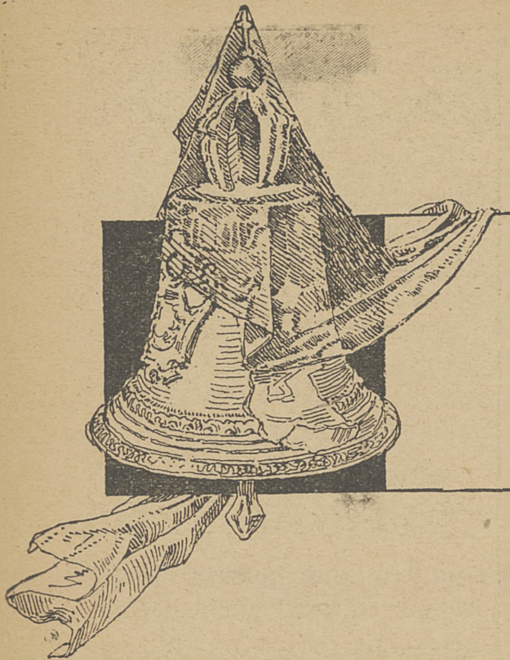
taki lud potrafi na wiecach zwrócić się do ministrów i zawołać im: Nie odstąpimy języka! Jesteśmy Polakami!

Teraz zwłaszcza — podczas Świąt — wszystkim czytelnikom naszym nastręcza się sposobność rozwinięcia energicznej agitacyi na korzyść „Pracy.“ Niechaj przyjaciele nasi skorzystają z tej sposobności i znalazłszy się w gronie znajomych, niech rozwijają nasz program polityczny, niech mówią o naszem piśmie tak gorąco, jak gorąco my pragniemy służyć dobrej sprawie i po ciężkiej pracy wraz z wiernymi naszymi przyjaciołmi zawołać:

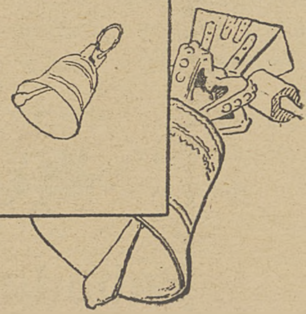
„Alleluja!“

„Praca.“

Baczność! Zwracamy szanownym abonentom uwagę, że choćby kiedykolwiek jeszcze prokuratorya miała ochotę skonfiskować nasze numery, **to czytelnicy na tem nic nie stracą,** ponieważ sprowadzamy maszynę rotacyjną drukarską, mocą której będziemy w możności w ciągu kilku godzin wydrukować nowy numer w miejsce skonfiskowanego. **Przerw żadnych zatem już nadal nie będzie!** Pomimo więc możliwej konfiskaty — otrzyma odtąd każdy z czytelników swój numer regularnie.



Alleluja!



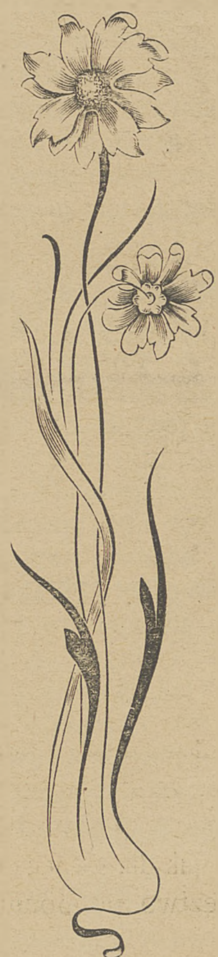
Drży z radości gmach kościoła,
Na wieżycy dzwon się buja —
Z naw wybiega pieśń wesoła:
Alleluja, alleluja!

Dwa dni w grobie Człowiek-Bóg
Leżał, jako rzekł do sług,
A na trzeci zaraz dzień
W blasku chwały powstał zeń.

Choć go strzegły ze stron obu
Rzymskie straże — oniemiały,
Gdy przyleciał anioł biały
I odwalił kamień grobu.

I siadł na nim i jaśniało
Nakształt słońca Jego lice,
A miał szatę jak śnieg białą,
A w wejrzeniu błyskawicę.

I upadły na twarz społem,
Gdy naokół ziemia cała
W Zmartwychwstania chwili drżała,
W trwodze wielkiej przed aniołem.



A gdy przyszła z niewiastami
Magdalena, aby Ciało
Pańskie natrzeć wonnościami,
Rzekł jej anioł: Tu leżało!

Oto miejsce grobu jego,
Tu złożony był w tej szacie,
Lecz go nie masz — przecz szukacie
Pośród zmarłych żyjącego? —

I znów dzisiaj zbożny lud
Zmartwychwstania święci cud,
Co odrodził cały świat,
Gdy zakwitnął wiary kwiat.

A wtóruje mu przyroda,
Tchnieniem wiosny ożywiona,
Z więzów zimy uwolniona,
Znowu piękna, znowu młoda.

Drży w posadach gmach kościoła,
Na wieżycy dzwon się buja —
Z naw wybiega pieśń wesoła:
Alleluja, alleluja!

Alf.





Święcimy dziś święto, pełne tajemniczych, a jednak tak zrozumiałych dla każdego *wierzącego* serca dźwięków — Święto zmartwychwstania!

Wysoko dźwięczy w przestworzach pieśń boża, pieśń wygrana na strunach nadziei i wiary.

Jak hejnał, oznajmujący, że już jutrzenka złocista zaczyna okrywać niebiosa, spędzając swemi anielskiemi skrzydły rozpostarte ciemności nocy — tak i ten cud, to Zmartwychwstanie Boga-Człowieka, uosabiającego walkę dobrych i szlachetnych żywiołów ludzkości ze złymi, przemawia do świata tajemniczo, a wymownie, że dla dobrej sprawy i po pogromie — jest zmartwychwstanie, tak jak dla słonecznych promieni zwycięztwo po ponurych cieniach nocy.

Świat cały czci dzisiaj Ukoronowanego cierniową koroną, Biczowanego i na krzyżu Rozpiętego — bo On dał dowód swej siły i potęgi tem, że przemógł śmierć samą i wśród umarłych nie był, jak umarły, ale jako żywy!

Cały świat chyli dziś głowę w pokorze przed majestatem Tego, Który nietylko życiem Swem pośród ludzi dał światu naukę, że tylko bogactwo ducha jest prawdziwem bogactwem, ale i śmiercią swą pozorną, a później zmartwychwstaniem dowiódł, że i śmierć nawet pozorna wobec świata nie przecina naprawdę istnienia, byleby duch był czysty i myśl w Bogu początek brała.

I im bardziej się rozważa te wzniosłe symbole zwycięztwa prawdy nad fałszem i obłudą, światła nad ciemnością, życia nad śmiercią, tem więcej piękności odnajduje w nich myśl ludzka i umysł ludzki korzy się w uwielbieniu przed tym symbolem wieczystej, wiecznie się odradzającej i odmładzającej prawdy — z wiekuistego źródła.

Żadne święto chrześcijańskiego świata nie kryje tak głębokiej myśli, nie jest tak podniosłym symbolem mądrości Bożej, co Święto Zmartwychwstania. Dla mędrca i dla dziecka jednako przystępna jest prawda, którą ono wyobraża, a prawda ta — to zapowiedź, że wszystko,

w czem jest tchnienie boże, w czem jest iskierka ducha Bożego, mimo pozornej śmierci z grobu powstać może i ku stokroć świetniejszemu życiu wzbić się potrafi. Ta tlejąca gdzieś w ukryciu iskra ducha Bożego wyprowadzi z ciemności zbłąkaną rzeszę ziemskich wędrowców i wskaże im drogę, po której krocząc, dojdą wreszcie do upragnionego celu i powitają go okrzykiem „Alleluja!“

„*Nie wszystko, co do grobu złożono, umarłem jest. Nie wszystko, co przez świat na śmierć skazane zostało — umarło.*“ Tak brzmi nauka tego pełnego podniosłych misterjów tygodnia, zwanego u nas „Wielkim.“

Iluż to ludzi wśród naszego najbliższego otoczenia zgasiło w swem sercu tę iskierkę Bożą *miłości ojczystego kraju*, którą im z woli Niebios do ich zdolności i sił dodano. Zgasili oni w sobie uczucie miłości Ojczyzny, stali się obojętnymi dla rodaków, nieprzychylnymi dla sprawy, nieczułymi na głos rzewny smutku i bólu współbraci, co się z piersi, mających poczucie krzywd nam wyrządzonych, wydobywa. Uganiają się oni za majątkiem, orderem, zaszczytem, a każdym swym czynem, każdem dążeniem, każdą myślą gaszą tę iskierkę, co gdzieś tli jeszcze w ich sercu. *Ale jej nie zagaszą!* Co z Boga się poczęło, do tego boskiego początku swego powrócić musi: iskra miłości Ojczyzny, to iskra Boża, która się zrodziła u wszech-potężnego płomienia Zmartwychwstania! Ockną się wreszcie te dusze wyziębione poziomymi celami, poznają, że straciły tę ojczyznę ducha i zapragną jej na nowo; zapłoną miłością Ojczyzny wielkiej, uciśnionej, pokrytej strumieniami łez i zlaną potokami krwi; staną się gotowe do ofiarności w imię sprawy.

Tę wielką nadzieję czerpiemy z nauki, którą nam święto dzisiajsze nastręcza. Ta nadzieja nas krzepi, ona daje nam siły i ukojenie w cierpieniu. Wrócą się narodowi, wrócą ci wszyscy zbłąkani, obojętni, wynarodowieni, bo się przebudzi w nich tłumiona iskierka ducha Bożego i przyprowadzi ich na łono Matki najlepszej, która wszystko przebacza — Ojczyzny, Polski!

O takie zmartwychwstanie ducha polskiego prosimy Cię, Panie!

Obudź wszystkie serca obojętne dla narodowości ojców, spraw, aby każdy poczuł tę iskierkę ducha Twego, która przez wieki całe chwały i niedoli przyświecała naszemu narodowi, jako miłość Ojczyzny i poszanowanie wiary!

A po odrodzeniu duchowem jednostek — nastąpi odrodzenie duchowe całego narodu, całego społeczeństwa.

Nasz naród, po tylekroć skazany za życia na śmierć, złożony do grobu politycznej niewoli, przygnieciony olbrzymim głazem druzgocących i hamujących wszystko praw wyjątkowych, żyje jednak wciąż i jest żyjącym protestem przeciw odmawianiu mu sił i uzdolnienia samodzielnego rozwoju. Czy jest ktoś, coby, patrząc na to sto lat już przeszło trwające grobowcowe życie naszego narodu, nie widział w tym fakcie zastanawiającego, zdumiewającego dowodu odradzania się wewnętrznych sił duchowych?

Tej otóż siły ducha, która jest iskierką ze źródła wszelkiego prawa i wszelkiej mądrości, nie zgasiły dotąd i nie zgaszą żadne dekreta do śmierci.

To, czem dla jednostki jest zmartwychwstanie, tem jest dla narodu odrodzenie się.

Rzućmy wokoło okiem, spojrzmy na te liczne pola działalności społecznej i politycznej, naukowej i artystycznej, ekonomicznej i etycznej, — a wszędzie spostrzeżemy ślady tego *odradzania się ducha polskiego*. Dzieło to dokonywuje się jakby pod parciem jakiejś wewnętrznej, nieznanej siły, która się mnoży, tysiące serc budzi, tysiącom umysłów kierunek nadaje. —

— — To święto zmartwychwstania i odrodzenia.

Spojrzyjmy na wszystkie warstwy naszego narodu: widzimy jak inteligencya coraz bardziej staje do szeregu w pracy narodowej; zapobiegliwe i skrzętne kupiectwo i stan przemysłowy pod szczerze polskiem hasłem pracuje nad przysporzeniem majątku narodowego; nasz chłop sięga po gazetę i czuje się obywatelem kraju równie dobrym, jak ci, których serca polskie nie pod sukmaną, lecz pod surdutem biją; nasz robotnik polski odpycha wyciągniętą dłoń socyalistów i mówi: ja pod narodowym polskim sztandarem stoję!

To — odrodzenie!

Jest więc wśród nas ta iskierka ducha Bożego, która w twardej doli nas krzepi i szepcze do ucha słowa nadziei i zachęty: *Wytrwajcie!*

I zbliży się chwila, gdy narody poznają, że jest wśród nich naród polski, o którym mówiono fałszywie, że umarł... Nadejdzie chwila, gdy i na ten naród wskaże palec Boży, a głos z wyżyn wyrzeknie o Ojczyźnie naszej

„*Zaprawdę nie umarła.*“

Niechajże się więc ten duch polski odradza, bo przed nim jest dzień chwały i brzmi w dali pieśń zmartwychwstania ducha: „Alleluja!“

Redakcya.

Przy święconem.

Przy święconem — przy życzeniach,
  Oto stają w naszym progu
Liczni goście — drodzy sercu,
  Mili duszy — mili Bogu...
Jakże witać ich się godzi?
  Gdzież im miejsca godne damy?
Czemże przyjąć? Jak ubawić?
  Cóż za zaszczyt posiadamy?
Oto przyszła R a d o ś ć zdala,
  Gość dziś rzadki w polskiej chacie,
O! i w ziemi tej Ojczyzny
  Nie tak często go spotkacie.
Bo to u nas — Wielki Tydzień
  Długo trwa już — męczeństw tyle,
Tyle stacyi — krzyżów — cierni..
  Jakby w smutku na mogile...
Ale dzisiaj — przy święconem,
  Szary smutek znikł w oddali —
Przyszła Radość — jasna — święta...
  Po piosenek przyszła fali.
Po tym graniu naszych dzwonów,
  Po tych kwiatach u Ołtarzy,
Przypłynęła — poszła w chaty,
  Przy święconem z nami gwarzy,
Ale za nią, za tą jasną,
  I n a d z i e j a się zjawiła.



Na rezurekcyą!...

O! prześliczna... ciepłą dłonią
Nas do serca przytuliła,
I tak jakoś w głębi duszy,
Jakby nowe przyszły siły —
Duch się wzmocnił — jaśniej w koło...
Znikły chmury, co dzień ćmiły...
Przy święconem — co za goście...
Z nieba — z nieba tu przychodzą,
Oto patrzcie — *miłość z zgodą*
Są tu z nami i już godzą
I już serca rozgrzewają,
I brat bratu milszy — droższy —
Nikt nie widzi, czy możniejszy,
Czy sławniejszy — czy uboższy...
Jeno widzi, że brat tobie,
Że mu Polska także matka,
Więc serdecznie brata gości,
Czy dwór możny — czy też chatka!
Przy święconem — inne życie...
Inne serca — ludzie inni —
Boć to goście do nas wchodzą
Przeanielscy i niewinni...
Oto patrzcie — w srebrnej szacie
Wiara u nas jakby słońce...
A zwątpienie znika w dali
Ledwie widać skrzydeł końce...
To ta wiara, nasza dawna,
Co jest martwa — w grzechów pyle
W sercach naszych — jakby w trumnie
Przeleżała czasu tyle,
Teraz żywa — z zmaz omyta,
Zmartwychwstała — jakże silna..
Jak promienna — jak potężna...
Myśl w niej bije — zamogilna.
Ducha wiedzie w owe drogi,
Które wieczność przybliżają —
Wiara, miłość i nadzieja
Nowych ludzi w nas stwarzają,
Bo święcone nasze serca,
Nasze modły — nasze czyny —
Bo brzmi wielkie Alleluja!
Zmartwychpowstał Bóg jedyny!

. . . .

O Rodacy! o Polacy!
Niechże goście ci zostaną,
Niech rozwiną swoje skrzydła,
Nad Ojczyzną tą kochaną...
Niechaj żyją w naszem życiu
Jako światła niezgaszone,
Wtedy będzie w Polskiej ziemi
Alleluja i — święcone!

Jadwiga Strokowa,

Zmartwychwstanie...

Idzie znów ku nam fala światła, idzie potop słonecznych blasków, idzie wiosna z powiewem południowych nieb — jak wieść zwycięzka, radosna i uroczysta...

I co młode, marzy i śni — a miłość skrzydlata unosi się nad chłopcem i dziewczyną — ptak rajski szepce o szczęściu... I wychodzi z zagrody na rozgrzany ugór wieśniak i widzi już w blaskach migocących przemienione, falujące łany zbóż...

I ze szpitali wysuwają się chorzy i grzeją się na słońcu i wróżą sobie zdrowie i długie lata...

I marzą uczeni o nowych odkryciach, wieszcze o nowych pieśniach, kupcy o nowych zamysłach, króle o nowych zdobyczach...

A nad tem mrowiem ludzkiem, pod wiosennem słońcem unoszą się ptaki skrzydlate i słychać powstające z ziemi życie stworzeń i ziół — a wszystko jednym hymnem Zmartwychwstania. Zmartwychwstała natura — wolna, potężna na nowy trud i bój!

A świątynie na ziemi razem z tem świętem natury wołają odwiecznym okrzykiem wesela świata: Alleluja — Chrystus Zmartwychwstał!

Przez lądy i morza idzie ten głos — spiżowe i ludzkie głosy powtarzają: Zmartwychwstał!

I na ziemi mogił i krzyżów — wśród świątecznej krasy Wielkanocnej jutrzni ludzie marzą...

Posiwiałe męzkie, kobiece, dziecięce głowy drżą, a usta szepcą:

Wszakże Zmartwychwstał!

Raz tylko w roku wielu z nich zbliża się do Chrystusa po Chleb żywota — i raz w rok w ów poranek zaduma się i pyta:

Żali i Ona zmartwychwstanie?

I patrzą po sobie bracia w kościele — zmieniły się twarze w kolatorskich ławach, inni zasiedli tam ludzie, z twarzami mniej jasnemi, co to z tego, co ich boli, urośli, na ich czole trud, siła, wytrwałość — a dalej tłum...

Z każdym rokiem mniej jaskrawe stroje — zciemniały szaty — za to widać więcej myśli, oświaty, dobrobytu po twarzach „wiary.“ Więcej wiedzą o Bogu, o kraju, o świecie, o swej Ojczyźnie, o swych obowiązkach, o swej doli...

Zmartwychwstają z ciemnoty, gnuśności, opilstwa, uporu — idą naprzód, z roku na rok w tę wielką jutrznię, której pamiątkę rokrocznie obchodzą.

I widzi każdy, iż oni naród doprowadzą do Zmartwychwstania...

K. Z.

Alleluja!

Ozwały się dzwony radosne, zabrzmiała nuta pieśni tryumfu i chwały, smutek i żałoba zanikły... Chrystus zmartwychwstał!!...

Jak świat wielki — tak wszędy znajdzie się Krzyż, a przy nim Chrześcijan modlitwa i zabrzmi dziś to słowo: — Alleluja!

Od najwspanialszych świątyń chrześcijańskich do najuboższych kościołów po wioskach rozrzuconych, od wielkich i ludnych miast do cichych i dalekich wiosek, od krańca ziemi cywilizowanej, nawet do ludów barbarzyńskich — wszędy doleci głos tryumfu i chwały Tego — Którego złość — nikczemność i pycha — pokonać chciały, ale — nie zdołały...

Alleluja!! Płynie dziś i wśród nas. Od Bałtyku po morze Czarne, od Warty do Dniepru, od Tatr do dalekiej Litwy... Jedne dzwony kościelne podają tę pieśń drugim dzwonom. Jedno echo odbite od gór Karpackich, od lasów nadwiślanych, od stron Gniezna lub Poznania — podaje to słowo dalej. Jedne usta powtarzają je drugim, jedne serca rzucają je jako radości i uniesienia znak drugim sercom, a tak pieśnią, echem, modlitwą, wiarą, miłością — cała Polska dziś zmienia się w jedno ognisko rodzinne, przy którem zgromadzeni wszyscy — czują się potężni i silni!

Gdzież dziś owa moc i siła siepaczów bluźnierczych, która zdołała Chrystusa od Ogrójca doprowadzić aż na Golgotę? Gdzież ta władza wielka, która wyrok śmierci wydała i wykonała? Gdzież to zwycięztwo, które już miało i krew na swój tryumf i śmierć na swe usługi i — grobowym kamieniem wszystko zakończyło?

Oto Zbawca zmartwychwstał! Rozwiał te tryumfy i zwycięztwa, a w słonecznej jasności nowego życia — moc katów i siepaczy zniweczył.

Rodacy! Zespoleni, złączeni, zbliżeni dziś — w święto Wielkiej Nocy — powiedzmy też z otuchą i pogodą:

Gdzież rozdział nasz? Gdzież rozbiory Ojczyzny naszej? Gdzież nasza śmierć?

Wszakże jesteśmy tak samo jedną, wielką, potężną rodziną, jak byliśmy nią za czasów Jagiełłów, Sobieskich, Puławskich, Kościuszki i Dąbrowskiego. Wszak Ojczyzna

nasza jest tak samo wielką w swoim obszarze i rozległości jak była wtedy, kiedy nie było na niej kordonów nakreślonych obcą dłonią, ani nie zwano jej dzielnic — dzisiajszemi nazwami. A nasza śmierć tylekroć głoszona i wymierzana? Wszak jesteśmy — wszak żyjemy — wszak ani nasze oczy nie martwe, ani serca bić nie przestały, ani usta nie oniemiały, ani ruch życia naszego nie ustał w martwocie.

Alleluja! Tobie Duchu Narodu Polskiego, co wśród ciężkich doświadczeń losu wciąż powstajesz z praojców grobu, ażeby do nowego życia, do nowej pracy i nowych poświęceń budzić młode pokolenia!

Alleluja! Polsko Tobie, coś przetrwała w męczeństw grobie, a wiary nie złamałaś — uczuć nie zgasiłaś!

Alleluja! Tobie siło ducha wielkiego, która możesz grobowe kamienie odwalać, stojące straże obalać i śmierć głoszoną — udowadniać życiem!...

„O!... — Zmartwychwstanie wszystkiemu co mdleje,
„Co traci ducha i moc i nadzieję...
„O! Zmartwychwstanie Łazarzom, Hiobom,
„Pękniętym sercom, zapomnianym grobom
„Światom gasnącym w ucisku stuleci
. . . .
„O! Zmartwychwstanie nadziejom tych dzieci,
Które — poczęte w Polski krwawem łonie —
„Zwycięstwem ducha wieńczą dziś jej skronie...

Dwudziesty wiek bije — datę Zmartwychwstania Chrystusowego. Co to za wielki pochód czasu — co to za olbrzymia ludów, narodów, całych plemion i pokoleń procesya... Ile w tym czasie od Zwycięztwa i Tryumfu Zbawiciela było zwycięztw i tryumfu *prawdy* — *sprawiedliwości i cnoty*!! A jednak — ludzkość nie wzniosła się do tej wyżyny, na jakiej już stać powinna... Miniony wiek nie uniósł na swych skrzydłach godła chrześcijańskiej miłości — ani miłosierdzia... Całe morze krwi, łez, krzywd, morderstw rozlało się wokoło jego bytu, a choć już znikł — jeszcze ludy i narody czują jego ciosy...

I my — jako naród tylekroć nieszczęśliwy i zgnębiony — w pierwszem święcie Zmartwychwstania Zbawiciela i Odkupiciela w tym wieku nowym — możemy rzec, iż zaprawdę przetrwaliśmy piekło mąk i katuszy — przewalczyliśmy ciosy śmierci nam zadawane wiele razy, a wiek miniony zapisujemy datami takich chwil jak legiony — noc Belwederska, rok 46 i 48, 21 stycznia 63 roku, a potem — wielka, straszna liczba lat — miesięcy i dni — imion i nazwisk — ofiar i łez — niewyrażonych w historyi, nienazwanych imiennie, nie uznanych przez wielu, a przecież — ciężkich, czarnych i bolu pełnych...

Alleluja tobie ludu od Gniezna, Gdańska i Kruświcy... Wam bracia od Wawelu, Wisły i Tatr... Tobie Warszawo, Litwo, Ukraino!...

Dzwonią stare dzwony z Wawelu — im w takt odpowiadają serca dzwonów poznańskich, z niemi łączą się rozliczne dzwony z pod Karpat nad Czeremoszem, od Dniestru i Pokucia...

obczyźnie i za oceanu brzegami i wsród stron cudzoziemskich, wy, którzy nie macie nad sobą nieba naszego, którzy nie macie polskiej wody do picia, polskiego chleba kruszyny do ust — wy biedni, wygnańcy, tułacze, sieroty, którym nawet w to święto polskie dzwony na Rezurekcyę nie zadzwonią — czyż nas nie słyszycie?...

Oto ku wam ręce wyciągamy, oto was widzimy, oto i z wami dziś przy święconym dniu i święconych myślach, jesteśmy razem — Alleluja!...



Alleluja!...

Alleluja!... wy powtarzacie przy dzieleniu się święconem jajem, przy składaniu życzeń, wy — z Wilna, Kowna, wy z Żytomierza lub Częstochowy, wy — z Śląska, z Kaszub, a my przecież odpowiadamy wam z całego serca, z radością, z uczuciem szczęścia i miłości wielkiej: — Alleluja!! Chrystus Zmartwychwstał!...

Jakto? Czyżeśmy nie przy jednym stole Ojczystego chleba, ojczystej wody, ojczystego święta zebrani?... To — iżeście wy oddaleni o mil tyle i tyle, to że was od nas dzielą drogi takie i takie, takie słupy graniczne, takie nazwy dzielnic lub okolic — wszakże niczem jest... Jedna krew — jedna wiara, jedna Matka, jedno serce, a więc — Alleluja!...

A wy Bracia — rozrzuceni po

„Kto ma *duszę*, niech wstaje!... niech żyje! bo jest czas żywota dla ludzi wielkich“ — śpiewał Słowacki narodowi... bo i w taki dzień święta wielkiego czuje każda jednostka w sobie wołanie do tego, by duchem wstawała z małości i samolubstwa, by żyła istnieniem nie bierności i martwoty, ale czynu — ofiar i zmartwychwstania!...

Po dniach smutku i bolów, cierpień i łez — świta Zmartwychwstanie ludzkości całej, bo Chrystus wstał z grobu dla wywołania z upadku tych, którzy zstąpili w przepaść przewiny...

Jak miniony wiek legionami pisał swoję nową datę — tak niech dwudziesty wiek notuje legiony wielkich prac nie z orężem i w polu bitwy, ale prac ducha — dla zmar-

twychwstania w oświacie — miłości i pracy!...

Alleluja!... Jakże blisko czujemy się siebie, jakże znamy się, jak rozumiemy... Wy nas kochacie, my wam serca nasze niesiemy... Wy u nas przy święconem, my u was w gronie waszych rodzin...

Oto w tem przyszłość — moc i nadzieja nasza, a nicość i pył w wysiłkach na naszą zagładę czynionych.

Ducha złamać i zabić można tylko tam, gdzie nie ma wiary i sił moralnych. Gdzie zaś duch narodu niespożyty, a duch ludu silny i czysty, tam na nic straże i groby, męczeństwo i wołania o śmierci wyrok.

Alleluja!...

Nad Polską ziemią, nad sercami polskich dzieci, nad myślą i pracą ludu polskiego niech dzwoni potężne słowo:

Alleluja!

Jadwiga z Z. S.

Zostań mi, wiaro!

Zostań mi wiaro, choć sieroca dola
Dawno mnie z ojców mych wygnała gniazda,
Choć serca mego podartą jest rola,
Choć nad mą chatą zgasła szczęścia gwiazda,
Choć życie moje męką i ofiarą,
Zostań mi wiaro!
Choć nie pamiętam ni matki ni ojca,
Choć nigdy pieszczot nie zaznałem w świecie,
Choć do ziemskiego słodyczy Ogrójca
Nie weszło nigdy popychane dziecię,
Chociaż wśród gmiun przeżyłem wiek młody,
A gdy do światła tęsknice mnie rwały,
W drodze ku gwiazdom ścięły mnie zawody,
Choć dzisiaj smutny jestem i zgorzkniały,
A dusza moja osmętnicą szarą,
Zostań mi wiaro!
Choć nikt mi prawdą nie napoił duszy,
Choć dla mnie piękna zamknięto podwoje,
A nim wydałem jęk moich katuszy,
Pękły mi skrzydła, złamane na dwoje,
Choć, nad swe szczęście, ludzi chcę zbawienia,
Choć w każdym widzę siostrę albo brata,
Choć wszystkie myśli, wszystkie serca drgnienia
Ludziom poświęcam w długie, znojne lata,
A często płaczę nad próżną ofiarą,
Zostań mi, wiaro!
Chociaż o rajskiej śniłem Beatryczy,
O cichej duszy, słodkiej, rozmodlonej,
A nigdym szczęścia nie zaznał słodyczy,
I dzisiaj jestem jak wulkan spalony,
Choć pokus straszne przeżywałem chwile,
A nigdym ziemskiej nie uległ kobiecie,
Choć zanim spocznę w samotnej mogile,
Pójdę samotny po obcym mi świecie,
Choć dusza moja próżną, wyschłą czarą,
Zostań mi wiaro!
Choć skargom naszym urągają wrogi,
Bluźniąc, że jęków nie słuchają nieba,
Choć ludu mego pełne świata drogi,
Co ginie marnie dla kawałka chleba,
Chociaż ostatnie gasną nam nadzieje,
O resztę skarbów wieczna ima trwoga,
Choć serce z bólu pęka i tężeje,
Ten i ów woła, że już nie ma Boga,
Choć ma Ojczyzna dzisiaj czarną marą,
Zostań mi, wiaro!
Choć podłych fałszów szczepiono mi jady,
Truciznę zwątpień sączono mi w serce,
Choć mnie obległy szatanów gromady,
I Boga wydrzeć chciały mi bluźnierce,
Chociaż obrony nie znalazły usta,
Bo w piersi czucie zostało jedynie,
A dusza moja czcza była i pusta,
W przepaści ciemnię weszła w tej godzinie,
Choć życie samo niebios było karą,
Zostań mi, wiaro!
Gdy Chrystus konał w pomrokach Golgoty,
Słyszałem, wtenczas ludzie zmartwychwstali,
Więc choć ból szarpie wnętrze mej istoty,
Choć nad mym ludem jutrznia się nie pali,
Chcę z nim uwierzyć w nasze *zmartwychwstanie!*
Wszak dasz je, Panie!

Tektander.

Nowe skargi — na znany temat.

W ostatnich czasach otrzymaliśmy zewsząd tyle skarg na upośledzenie polskich wychodźców pod względem opieki duchownej, że znowu zmuszeni jesteśmy zabrać głos w tej, niestety, aż za dobrze znanej a smutnej materyi.

Naturalnie najwięcej skarg nadchodzi z Westfalii: to na brak wszelkiej opieki duchownej, to znów na wyraźną nieżyczliwość niemieckiego duchowieństwa wobec Polaków.

Z Mengede, Derne, Lünen, Lütgendortmund i innych miejscowości otrzymaliśmy kilkanaście listów z wiadomością, że kazania, które tam wygłaszał dla Polaków zakonnik O. Franciszek, rozgoryczyły lud polski w najwyższym stopniu: polscy wychodźcy bowiem zostali z ambony wyzywani w sposób wprost nie licujący z powagą świętego miejsca. Wielu z piszących listy oświadcza nam, że nigdy już nie pójdą na kazania tego zakonnika.

Niektórzy proboszczowie Niemcy wprost niechętnie patrzą na to, gdy przyjeżdżają do ich parafii kapłani, mówiący po polsku, aby zająć się Polakami.

W Remscheid przez długi czas nie było polskich kazań, ani polskich spowiedzi. Na skutek skarg Polaków tamtejszych przybył wikaryusz od kościoła św. Andrzeja w Kolonii, ks. Lenartz, Niemiec, który specyalnie bawił w Poznaniu, aby się wyuczyć polskiego języka i włada nim już o tyle, że może wysłuchać spowiedzi, kazania zaś tylko odczytuje. Miejscowy proboszcz przyjął swego konfratra bardzo niechętnie, pozwolił tylko na wysłuchanie spowiedzi, a na odprawienie nabożeństwa z kazaniem polskiem nie pozwolił. Ks. Lenartz miał co miesiąc przyjeżdżać do Remscheid. Tymczasem po owej bytności przeszło już 6 miesięcy, a drugi raz się nie pokazał.

W Hali nad Saalą długi czas łudzono Polaków takiemi samemi obietnicami, aż wreszcie powiedziano im, że choćby na głowach się postawili — dzisiajszego stanu rzeczy nie zmienią.

Pewien proboszcz w Westfalii ogłosił Polakom, mieszkającym w jego parafii, że jeśli zbiorą 1500 mk. na wystawienie ołtarza do nowego kościoła, to wolno im będzie umieścić w ołtarzu obraz M. B. Częstochowskiej. Składki naturalnie poszły raźno a nawet już i obraz był w drodze z Krakowa na miejsce, gdy ksiądz oświadczył, że umieszczenia tego obrazu „agitacyjnego“ nie dopuści. Takich i podobnych faktów dziesiątki możnaby przytoczyć.

Mniemanie robotników westfalskich o duchowieństwie niemieckiem jest takie: że Polak póki pełną garścią sypie ofiary na bu-



Sen o jajku wielkanocnem.

dowę kościołów, póty jest „der liebe, brave Pole“, a gdy kościół wybudowany, sprzęty kościelne popłacone, to „dummer Pollack“ może sobie iść precz.

Naturalnie, że i w innych prowincyach Niemiec sprawa opieki duchownej dla Polaków stoi w tej samej fazie rozwoju.

W całym szeregu miejscowości zakazano Polakom w czasie postu wielkanocnego śpiewać tak ulubione przez lud nasz „Gorzkie żale“, choćby Polacy stanowili pół parafii.

W Geestnacht i w Schulem (osady w pobliżu Hamburga) opieka duchowna spoczywa w ręku ks. Wilken, który specyalnie uczył się dłuższy czas polskiego języka. Jakkolwiek jednak włada dość dobrze językiem polskim, kazań polskich nie miewa. Na nabożeństwie bywa około 10 Niemców, reszta zaś Polacy. Obejmując parafię, ks. Wilken obiecywał (w polskiej przemowie), że przynajmniej co drugą niedzielę będzie miewał kazania polskie. Tymczasem kazania zupełnie odpadły, — skończyło się tylko na gorącym apelu do Polaków — aby składkowali na rzecz przyborów kościelnych do nowego kościołka; Polacy zebrali nadspodziewanie znaczną sumę, lecz doczekali się tylko tyle, że ksiądz odczytuje ewangelię po polsku. Obiecanych kazań, jak niema, tak niema.

Wszystkie fakty powyższe — stanowiące maleńką cząstkę ogólnego stanu rzeczy — dowodzą wyraźnie, że polityka germanizacyjna najzupełniej już się przyjęła w kołach niemieckiego duchowieństwa.

Jednym z najpotworniejszych objawów, do których doprowadziło stosowanie polityki germanizacyjnej w kościele, jest fakt, że są w niemieckich prowincyach księża Polacy, którzy się tają ze swą narodowością, bojąc się, że w razie najmniejszych dowodów życzliwości i z ich strony opieki nad wychodźcami polskimi, wyższa władza duchowna ich przesiedli.

A więc jeden fakt wygląda tak: wikarjusz, noszący niemieckie nazwisko, ale gorliwy Polak, udaje, że się zupełnie zgermanizował, unika styczności z Polakami, mówiąc: niechno ja tylko zostanę proboszczem i dostanę parafię, gdzie, jest dużo Polaków, to się nimi zajmę.

Drugi fakt: ksiądz-Polak na pogrzebie Polaka wobec zgromadzonych wychodźców polskich ma kazanie — po niemiecku. Po akcencie polskim rozpoznają go rodacy i potem mówią z radością: mamy księdza-Polaka! On się głośno wypiera tego, że jest Polakiem, a po cichu mówi: mnie tylko spowiedzi wolno słuchać w polskim języku — kazania, ani mowy po polsku wam nie powiem.

Inny fakt: wśród jednej z mniejszych kolonii przebywa kapłan Polak. Przestaje on z Polakami, opiekuje się nimi chętnie i wyświadcza wiele dobrego. Ale prosi: na miłość boską nie mówcie nikomu, że się wogóle znam z wami, bo mnie niezwłocznie ztąd przesiedlą.

Naturalnie, ani nazwisk, ani miejscowości, ani nawet prowincyi lub państwa niemieckiego wskazać nie mogę, które jest widownią tych niebywałych faktów ucisku duchowego. A jeślim wogóle o faktach tych wspomniał, to jedynie dlatego, że widzę w ich istnieniu tak ciężkie zarzuty wobec współczesnej pseudo-cywilizacyi, że samo ich publiczne stwierdzenie do naprawy stosunków przyczynić się może.

Wyższe duchowieństwo niemieckie powinno pamiętać, że jakkolwiek Polak od urodzenia przejęty poszanowaniem dla powołania kapłańskiego, to wszakże dobrze potrafi rozróżnić misyę duchowną od misyi germanizacyjnej i w publicznej krytyce wędzidła nie da sobie nałożyć. Polacy na wychodźtwie mieli — za czasów pobytu w ojczyźnie sposobność zbyt dobrze poznać, jakim jest prawdziwy kapłan, aby nie mieli poznać się na tych dążnościach nie licujących z powołaniem kapłańskiem.

My bardzo dobrze wiemy, dlaczego to ks. arcybiskupa kolońskiego dra Simara ominął znowu kapelusz kardynalski: w Rzymie zbyt wiele nagromadziło się przeciw niemu skarg upośledzonych w swych sprawach Polaków. I w przyszłości Polacy milczeć nie będą. Od tego mamy niezawisłą polską prasę, aby za prawami naszych wychodźców energicznie się ujmowała. *Dr. K. Rakowski.*

Specyalna korespondencya „Pracy.“

Berlin, w kwietniu.

Jako jeden z najważniejszych braków naszych kolonii polskich muszę zaznaczyć brak książek polskich. To znaczy mam na myśli tutaj książki odpowiednie dla przeciętnego czytelnika. Łatwo nam coprawda o książkę polską, jako taką, ale o książkę dobrą w prawdziwem tego słowa znaczeniu, niesłychanie trudno. A jednak przecież nasza literatura nie jest uboga w tanie dzieła, jakich by tu było potrzeba. Dlaczegoż więc ich niema? Oto dlatego, że nasze towarzystwa są bardzo leniwe w kupowaniu książek, zwłaszcza nowych, a jeśli się zdarzy jakiś ofiarodawca, to zazwyczaj nie zna poziomu naszych towarzystw i przysyła broszurki lub książeczki ludowe — jak dla ludu uczącego się czytać na powiastkach o rabusiach, aniołach i rozmaitych moralizatorskich opowiadaniach. A tymczasem potrzeby umysłowe naszej kolonii idą nierównie dalej. Jako jedną z dalszych przyczyn braku dobrych książek wymieniłbym naszą nieudolność, czy lenistwo: książkę polską trzeba dopiero sprowadzić, pisać po nią, wybierać w cennikach — a tego się nie chce. Powtóre i księgarze nasi w Księstwie nie są dość sprężyści na tym punkcie, nie starają się o rozprzedaż książek zapomocą kolportażu, umiejętnej reklamy, kart z zamówieniami i t. p. Już też dlatego daleko większy wpływ wywierają na życie umysłowe naszej kolonii gazety polskie, ponieważ je listonosz każdemu pod nos podsunie. A więc się je czyta. Gazet sprowadzamy dużo. Oprócz „Dzienika Berlińskiego“ rozchodzi się znaczna liczba pism z kraju nadsyłanych. Pomiędzy temi pismami największą liczbę czytelników (przeszło 600) ma wśród berlińskich Polaków nasz kochany tygodnik „Praca“. Dalej idzie „Wielkopolanin“, „Orędownik“ i „Postęp“ (ra-

zem licząc do 500 egz.) Rozmaite gazety prowincyonalne, jak „Gdańska“, „Grudziądzka“, „Toruńska“, „Ostrowska“, „Lech“, „Katolik“ i t. d., liczą ogółem z 300 czytelników, a gazety dla inteligentniejszych warstw „Dziennik“ i „Kurjer Poznański“, wraz z gazetami z Galicyi i Warszawy dosięgają liczby może 100 czytelników. Prócz tego wychodzi w Berlinie „Gazeta robotnicza“ (socyalno-demokratyczna) mająca około 150 czytelników w Berlinie (ma przestać wychodzić.

Ogółem zatem obliczać można liczbę egzemplarzy gazet (wraz z Dziennikiem Berl.) na 2300. Liczba ta jest raczej o jaką setkę za wysoka, niż za niska.

Obok prasy, jako broni przeciw germanizacyi, postawić należy towarzystwa polskie. O nich już pisała „Praca“ nieraz. Pozostaje tu tylko w kilku słowach zaznaczyć dodatni wpływ, jaki na obronę przed germanizacyą wywierają wynikłe na gruncie istnienia towarzystw polskich, bardziej złożone objawy życia polskiego - wiece. Są to zupełnie sporadycznie urządzane powszechne zebrania wszystkich Polaków, zwoływane zazwyczaj przy pewnej okazyi n. p. z okazyi obchodu mickiewiczowskiego, jubileuszu Papieża, zamknięcia szkółek polskich przez policyą, braku kazań polskich itd. Zbiera się zatem zazwyczaj tłum parotysieczny, do którego referenci przemawiają stosownie do okoliczności. Doniosłość urządzania wieców, jako wyższego rzędu objawów narodowego życia, ocenił najpierwszy p. Władysław Berkan, prezes komitetu stowarzyszeń i właściciel zakładu krawieckiego, jeden z najzacniejszych w Berlinie ludzi na polu organizowania kolonii polskiej.

Coraz silniejsze objawy żywotności narodowej berlińskiej kolonii polskiej odbiły się w ostatnich czasach na jej stosunku do pruskich władz administracyjnych.

Ludzie, ktorzy z poświęcenia pracowali w tym celu, aby wytworzyć wśród kolonii polskiej w Berlinie pewną organizacyą, aby wytworzyć łączność i murem wspólnych usiłowań odgrodzić słabsze duchem jednostki od zgermanizowania się, nie pracowali bez pewnych wytkniętych, bliższych i dalszych celów.

Co do tych bliższych celów panuje już dziś zupełna jednomyślność.

Dążenia te, urzeczywistnienie których jest blizkie, zawierają się w szeregu następujących postulatów:

1. *Potrzeba regulowania dopływu emigracyi z kraju do Berlina. Potrzeba opiekowania się przybyłymi a nie znającymi warunków miejscowych Potrzeba polskiego biura pośredniczenia pracy.*

Prosty robotnik polskiej narodowości daleko słabszy jest wobec prześladującego braku zajęcia, niż robotnik miejscowy berliński.

Na tem więc polu, które dotychczas jeszcze leży odłogiem, należałoby coś przedsięwziąść. Po pierwsze, należałoby zaopiekować się przyjeżdżającymi do Berlina z prowincyi; — powtóre, należałoby zająć się losem szukających pracy Polaków zamieszkujących stale w Berlinie.

Odpowiedzieć pierwszemu zadaniu mógłby *komitet towarzystw.* Za pomocą komunikatów, ogłaszanych w prasie prowincyonalnej mógłby starać się pohamować napływ wychodźtwa do Berlina w tym czasie, gdy uzyskanie pracy jest prawie wykluczone. W ten sposób jednocześnie najskuteczniej by można przeciwdziałać szkodliwej działalności agentów, namawiających lud do wychodźtwa. W czasie zaś, gdy to wychodźtwo przybiera rozmiary, nie przewyższające potrzeb, gdy więc jest nadzieja uzyskania pracy, należałoby tylko, aby potrzebujący chwilowego schronienia trafili do „Przytuliska“, a nie błąkali się po całem mieście nadaremnie; prócz tego — aby w „Przytulisku“ znaleźli kilka ważniejszych dzienników miejscowych, w których z działu inseratowego znaleść by mogli wskazówki dokąd się udać po pracę, a raczej ręka w rękę z tem działać powinno *„polskie biuro pośredniczenia pracy.“*

2. *Dalej potrzeba polskich księży dla zaopiekowania się prostym ludem.* W tym celu wiece Polaków berlińskich stale, w coraz to ostrzejszej formie, ponawiają do kardynała Koppa żądanie wydelegowania księży polskich.

3. *Potrzeba wreszcie „Domu Polskiego“* na wzór niemieckich *Vereinshausów.* Dom ten, którego budowa jest oddawna w projekcie, stałby się ogniskiem ruchu towarzyskiego. Miejmy nadzieję, że do urzeczywistnienia tych planów kiedyś może dojdzie.

Berlińska kolonia polska ma jedną zaletę — oto pewną łączność z towarzystwami, istniejącemi po za obrębem Berlina. Między innemi towarzystwo polskie w Schoenebergu w stałych stosunkach pozostaje z berlińską Polonią.

Towarzystwo katolickich robotników polskich w Schoenebergu istnieje już lat dziewięć. Towarzystwo to posiada kasę wsparć dla swych członków, która w razie śmierci członka wypłaca 30 mk. na pogrzeb, a oprócz tego o ile pozostaje jeszcze jaki fundusz pod koniec roku, to zostaje podzielony pomiędzy członków i zapisany każdemu na książeczkę oszczędności złożoną w spółce kredytowej polskiej „Skarbona“.

Za staraniem prezesa pana Juliana Sokołowskiego założono w towarzystwie kółko śpiewackie, które się dobrze rozwija. Z odczytów roku ubiegłego zasługują na wyszczególnienie odczyty: „O Muzyce“, „O prawach obywatelskich“, „O Kościuszce“, „Ostatnie chwile niepodległości Polski“, „O budowie ziemi i jej skorupie“.

Prezes p. Julian Sokołowski często miewa rozmaite interesujące odczyty z „Pracy“. To samo i pan Jan Sokołowski. W pierwsze święto Bożego Narodzenia urządziło towarzystwo gwiazdkę dla dzieci. Ogólna liczba członków wynosi 66. Towarzystwo abonuje rozmaite pisma, co kwartał inne. Stale zaś abonuje „Pracę“ i „*Dzien. Berliński*“. Towarzystwo należy do komitetu Towarzystw i do „Skarbony.“ Prezesem honorowym jest p. dr. Tempski, prezesem p. Julian Sokołowski, a zastępcą p. Przybylski, sekretarzem pan Majsnerowski. Towarzystwo tak dobrze zasługuje się, że każdy Polak w Schoenebergu powinien za obowiązek dla własnej swej korzyści uważać należenie do Towarzystwa. Posiedzenia odbywają się co 2 tygodnie, a na każdem posiedzeniu jest piękny wykład lub pogadanka. Listy i zgłoszenia przyjmuje p. J. Sokołowski, Berlin, Lindenstr. 15. *X. X.*

Z TYGODNIA.

Ostatnie dwa zamachy na cesarza Wilhelma, Selmy Schnapke we Wrocławiu i Weylanda w Bremie, wywołały, jak się zdaje, u cesarza silne rozgoryczenie.

Widać to z zeszłopiątkowego przemówienia do pp. Kroechera i Krausego, prezydentów pruskiej izby sejmowej, wyziera to również z ostatniego odezwania się do pułku grenadyerów gwardyi imienia cesarza Aleksandra przy wprowadzeniu go do nowej siedziby.

Mówca koronowany przeznacza sobie pułk na rodzaj osobistej ochrony, a w przestrzeni maluje wyobraźnią dwa niebezpieczeństwa, z któremi grenadyerowie królewscy zmierzyć się będą zmuszeni może w blizkiej przyszłości. Cesarz wyraźnie dzieli niebezpieczeństwa ogólnoeuropejskie, zewnętrzne, od wewnętrznych, ulicznych. O ile pierwszy ustęp nie wykracza z kolei podobnych enuncyacyi cesarskich, a uderza tem tylko, że monarcha uważa za potrzebne w taką strunę potrącić, o tyle drugi musiał w społeczeństwie niemieckiem odezwać się echem silniejszem.

Oczywiście mówi tu cesarz o tej kategoryi objawów, które wynikają z osłabienia się widocznego w Prusiech poszanowania dla władzy, nad którem utys-

kiwał cesarz przed tygodniem. Zapytano niewątpliwie setkami ust w Berlinie, czyżby istotnie powszechna niekarność (Unbotmässigkeit) zaszła już tak daleko i przybierała nawet kształty podobne do ulicznego wstrząśnienia, skoro cesarz wyraża nadzieję, że pułk grenadyerów, jako jego osobista ochrona, bagnetami potrafi przywrócić posłuszeństwo i odepchnąć tych, którzy ośmieliliby się wykroczyć za linię prawa i porządku.

Zapewne szukać będą w Niemczech ściśle sformułowanych przyczyn tak odpornego postawienia się monarchy wobec społeczeństwa. I zauważą, że w ostatnich czasach nie zaszły na żadnem polu życia publicznego tak złowrogie objawy, iżby usprawiedliwić mogły zagrożenie „miastu“, to jest Barlinowi, bagnetami grenadyerów. Pozostają tylko zamachy Selmy Schnapke i Weylanda. Ale obadwa te zamachy nie wydarzyły się w Berlinie i obojga zbrodniarzy uznano za niepoczytalnych. Selmę ukryto w jakimś domu waryatów, Weylanda świeżo posłano do szpitala na obserwacyę. Czyny ich należą do patologii, a nie psychologii społecznej.

Przyszłość traktatów handlowych wciąż jeszcze jest pokryta gęstą mgłą tajemnicy. Austrya i Rosya bardzo nieżyczliwie zachowują się wobec projektów zmian, które chce wprowadzić do traktatu rząd niemiecki.

W niemieckim urzędzie skarbu ukończono zaledwie obrady nad nową niemiecką taryfą celną, złożoną z 800—900 pozycyi, które ze wszystkich stron należycie obejrzeć należy, zanim je się podda opinii krytycznej świata. Nowa taryfa zbadana będzie raz jeszcze w sposób komisyjny przez poszczególne departamenty rządu rzeszy, poczem dopiero rozpoczną się rokowania z rządami związkowemi. Kiedy wszystkie rządy dadzą swą aprobatę zasadniczą projektowi nowej taryfy, wówczas będzie przedstawiona do uchwały radzie związkowej, zkąd przejdzie nareszcie do parlamentu. Ztąd wynika, że przed jesienią oczekiwać niepodobna stoczenia owej zażartej walki parlamentarnej między agrarnymi potekcyonistami a zwolennikami wolności handlowej, orędującymi interesy przemysłu, handlu i — giełdziarstwa semickiego.

Znamienne skargi przeciw władzom administracyjnym wytoczyła partya socyalno-demokratyczna niemiecka. Mianowicie w parlamencie niemieckim podczas trzeciego czytania budżetu socyalista Fischer przy etacie kanclerza państwa zapytał, czy kanclerzowi znaną jest działalność szpiegowska berlińskiej policyi politycznej i czy zechce przedsięwziąć środki, zapobiegające temu. Mówca uważa całą organizacyę policyi politycznej za niemoralną i przypomina proces Tauscha. Wachmistrz kryminalny zwrócił się niedawno do przyjaciela mówcy, pewnego socyalisty, chcąc go przekupstwem nakłonić do zdradzenia stronnictwa. Ów wachmistrz urządził spotkanie owemu socyaliście z komisarzem policyjnym, v. Arnimem, który mu zaproponował, żeby kosztem kilku tysięcy marek otworzył knajpę, gdzie towarzysze jego mogliby być wygodnie strzeżeni i podsłuchiwani przez policyę. Mówca domaga się wdrożenia śledztwa sądowego przeciw tym dwom urzędnikom, przytacza jeszcze jeden fakt podobnego usiłowania przekupstwa socyalisty i pyta, czy kanclerz państwa pochwala taką działalność urzędników policyjnych jako „Agents provocateurs“? — Hr. Bülow w odpowiedzi zapewnia, że nie wie nic absolutnie o zajściach podobnych i stąd nie może bliżej omawiać tej sprawy.

Z tonu tej odpowiedzi można było wnioskować, że kanclerzowi cała sprawa była mocno nie na rękę. W istocie też sam hr. Bülow w znanej sprawie Sternberga przyznał pośrednio, że policya pruska domaga się gwałtownej naprawy.

W niby liberalnej i tolerancyjnej, ale faktycznie żydowskim duchem przesiąkłej Francyi piętrzą się coraz bardziej przeszkody stawiane działalności rozmaitych kongregacyi i zakonów katolickich. Rząd, ustępując naleganiom żywiołu żydowskiego, któremu solą w oku była wolność kościoła katolickiego we Francyi, przeprowadził prawo, na mocy którego każda nowa kongregacya lub zakon dopiero w drodze ustawodawczej musiałby otrzymać zatwierdzenie. Lecz to prawo, zdające na łaskę i niełaskę rządu istnienie wszystkich zakonów, wywołało silną opozycyę, która omało nie wywołała przesilenia gabinetowego.

Krucho było we francuskiej izbie z przyszłością prawa o stowarzyszeniach i kongregacyach. Prawica monarchiczno-zachowawcza, nacyonaliści i meliniści powrócili w nowej formie do dawnych swych odrzuconych poprawek i wniosków, żądających, aby prawo aprobaty stowarzyszeń religijnych (kongregacyi) odebrać władzy ustawodawczej, to jest parlamentowi (jak chce projekt rządowy), a przelać je na radę stanu. Wnioski te wychodziły ze słusznego założenia, że rada stanu, złożona z wytrawnych, wysłużonych mężów stanu, mniej skłonną się okaże do nienawistnych szykan od izby deputowanych, zawsze niemal we Francyi podległej duchowi radykalizmu, do zamykania drogi spokojnemu rozwojowi życia zakonnego.

Większość odrzucająca powyższe wnioski, z każdym niemal dniem szczuplała. Ostatecznie wynosiła ona ledwie 22 głosy. To ośmieliło raz jeszcze prawicę. Rząd ujrzał się w niebezpieczeństwie.

Alicot postawił następującą poprawkę do art. 13:

„Wszystkie istniejące już kongregacye, a zatem i nieupoważnione, mogą uzyskać upoważnienie dekretem rady stanu.“

Gdyby izba przyjęła poprawkę Alicota, obaliłaby zasadę już przyjętą, która orzeka, że upoważnienie dla kongregacyi religijnych uzyskane tylko być może w drodze ustawodawczej. Poprawkę Alicota odrzucono 274 głosami przeciw 262, a zatem większością ledwo dwunastu głosów!

Wynik tego głosowania zapewne będzie dla Waldecka-Rousseau nauczką, aby walki przeciw katolikom nie wszczynał.

Jednym z najważniejszych wypadków ostatnich tygodni są bezwątpienia rozruchy studentów rosyjskich w Petersburgu, Moskwie i Kijowie.

Rozruchy studenckie nie są właściwością wyłącznie rosyjską i nie w Rosyi miały swój początek. Przeciwnie, po za granicami Anglii, gdzie wyjątkowe warunki organizacyi uniwersyteckiej i spokojny, normalny rozwój urządzeń publicznych, ustrzegły państwo i naród od wszelkich, gwałtownych przewrotów — nie było chyba kraju w Europie, gdzieby rewolucyjna agitacya nie wciągnęła w swój wir młodzieży, zawsze wrażliwej na pięknie brzmiące, choć najczęściej obłudne i wątpliwym celom służące hasła. We wszystkich niemal rewolucyach europejskich rozruchy studenckie były zwiastunami burzy, i wiele kosztownej, młodej krwi przelało się na barykadach Paryża, Berlina, a nawet Wiednia. Ale Europa dojrzała i uspokoiła się; dziś już chyba wszędzie jest dogmatem poważnych stronnictw politycznych, nie wprowadzać do uniwersytetów fermentu politycznego, a działanie przeciwne spotyka się z dość ogólnem i surowem potępieniem i nie natrafia na podatny grunt u młodzieży. W Rosyi natomiast, gdzie od lat kilkudziesięciu rozwój instytucyj ogólnych jest zahamowany zasadą samowładztwa, istnieje w całem społeczeństwie tyle różnych fermentów, że każdy nacisk wywołuje wrzenie.

Nietakt rektora uniwersytetu spowodował interwencyę żandarmeryi, liczne aresztowania i srogi wyrok, zasądzający blisko 300 studentów na służbę wojskową; kara ta, stosowana konsekwentnie za czasów Mikołaja I, wyszła z użycia za rządów Aleksandra II. Dopiero przed dwoma laty, po wielkich rozruchach w Petersburgu i Moskwie, przywrócono ją w całej pełni, za inicyatywą podobno Bogolepowa i Pobiedonoscewa. — Ta surowość w danym wypadku zupełnie

nieusprawiedliwiona, rozjątrzyła studentów i stworzyła dogodne pole dla agitacyj pokątnych, jakich nigdy nie brak w Rosyi. — W poczuciu przesadnej solidarności koleżeńskiej rozpoczęli studenci szereg manifestacyj. Zwykły nietakt policyi rosyjskiej, której, według starych tradycyj, dodano do pomocy kozaków, niemało się przyczynił do zaostrzenia sytuacyi.

Nie ulega wątpliwości, że metoda, jaką rząd rosyjski do poskromienia rozruchów stosuje, nie licząca się ani z temperamentem młodzieży, ani z warunkami cywilizowanego społeczeństwa — przez to samo chybia celu. Nahajka kozacka, spadająca na plecy studenta, budzi w społeczeństwie rosyjskiem łatwo zrozumiałe współczucie dla młodzieży, mącąc sąd o prawdziwem znaczeniu tych smutnych zajść.

Jest to wogóle sprawa wewnętrzna rosyjska, i dlatego młodzież polska najlepiejby zrobiła, zachowując stanowisko neutralne.

Zdaje się też, że młodzież uniwersytecka polska w słusznem poczuciu swych odrębnych interesów narodowych nie pójdzie szlakiem tych niebezpiecznych rozruchów.

Zresztą nadmieniają już, że cesarz Mikołaj postanowił znieść zaprowadzoną niedawno karę rekrutowania do wojska „niebezpiecznych" studentów. Zapanuje więc znów chwilowy spokój.

Życzenie spędzenia spokojnych świąt wielkiej nocy ciekawy wywołało rezultat — — w parlamencie wiedeńskim: oto uczyniło go zdolnym do pracy! Przeciętny filister już się zdumiewał nad znikomością rzeczy ludzkich, dowiedziawszy się, że obstrukcya w Wiedniu ustała.

Nie potrzeba być przewidującym i głębokim politykiem, aby widzieć, że obecny stan parlamentu jest tylko zawieszeniem broni, zawartem na pewien czas. Nie tają się z tem Czesi, że taktyki swej nie zaniechali a tylko ją wstrzymali, i to nawet tylko do świąt Wielkanocnych, po których na nowo zastrzegają sobie „wolną rękę". Że do powrotu do normalnych parlamentarnych stosunków bardzo jeszcze daleko, dowód w tem, że żadna ze spraw, będących przedmiotem sporu i osią wszystkich ostatnich burz, nie może być załatwioną — i nie ma też o tem nawet mowy obecnie. Tak samo rozbiłaby się z takim trudem doprowadzona do skutku chwilowa zgoda, gdyby którekolwiek stronnictwo objawiło poważny zamiar zmieniania regulaminu i dążyło do jego zrealizowania. Wreszcie nad parlamentem, jego względnym spokojem i jego chęcią załatwienia przynajmniej najpilniejszych spraw zawisło, jak groźna chmura, widmo utworzenia prawdziwej, parlamentarnej większości.

Bądź co bądź — Święta Wielkiej nocy mijają spokojnie. Wszystko się szykuje do przyszłych walk. Niechajże i nam wolno będzie na chwilę zapomnieć o wszystkich walkach, które nas czekają w przyszłości i w niezamąconym niczem dobrym humorze zawołać czytelnikom „Pracy"

„Wesołych Świąt!"

K. O.

PRZEGLĄD PRASY.

Niesłychanie ciekawą pogłoskę puściły pisma czeskie — o interwencyi wpływowego w Wiedniu Koła polskiego na rzecz Polaków w zaborze pruskim. Otóż, jak twierdzą pisma czeskie, posłowie polscy zawezwali hr. Gołuchowskiego, aby zaniechano w Prusach wrogiej polityki przeciw Polakom. O bliższych szczegółach tej pogłoski czytamy w **„Gońcu Wielkopolskim"**:

„Posłowie polscy oświadczyli, że przeciwdziałać będą dalszemu trwaniu przymierza z państwem, które Polaków pognębia i że w delegacyach politykę hr. Gołuchowskiego popierać zaprzestaną.

„Polacy są współczynnikiem politycznym w Austryi, a jako tacy nie mogą zezwolić na sojusz państwa z żywiołem polskości wrogim.

„O ile protest taki posłów polskich w Wiedniu może mieć doniosłość polityczną, trudno na razie ocenić. Ale to pewno, że Polacy w Austryi mieli oddawna obowiązek narodowy stanowisko swoje przeciwne w obec polityki polakożerczej w Prusiech zaznaczyć.

„Niektóre dzienniki galicyjskie przyjmują komunikat gazet czeskich z powątpiewaniem, a „Kuryer Lwowski" wątpliwość swą wyraża w słowach: „Na to się nie zdobędą!"

„Stanowisko hr. Gołuchowskiego w tej sprawie w razie energiczniejszej postawy „Koła Polskiego," będzie nie łatwe. Przewidzieć też można, iż odpowiedź jego brzmieć będzie tak, jak brzmiała, gdy chodziło o wydalenie galicyjskich i czeskich robotników z Prus. Rząd pruski ani się pytał o to, co sądzą w Wiedniu o banicyjnych rozporządzeniach i o wyrzucaniu biednych wyrobników po za czarno-białe słupy graniczne, a rząd austryacki z swej strony znosił cierpliwie owe wydalania, sprzeciwiające się zasadniczo najprostszym warunkom przyjaźni i sprzymierzania się państw.

Otwarcie mówiąc, i my jesteśmy tego samego zdania, co przytoczony powyżej **„Kuryer Lwowski"**, który nie przypuszcza, aby wiedeńskie Koło polskie zdobyć się mogło na tyle energii i inicyatywy w obronie współbraci z Poznańskiego. Natomiast informowaliśmy się, o ile w tej wersyi może być prawdy i otóż rzecz się przedstawia nieco inaczej. A mianowicie w pertraktacyach o odnowienie trójprzymierza, którego termin niedługo się kończy, Niemcy zwróciły uwagę Austryi na to, iż ciągła wewnętrzna walka z Czechami osłabia monarchię austryacką i obniża jej wartość jako sprzymierzeńca. Na to urząd spraw zagranicznych austryacki nie pozostał dłużnym w odpowiedzi i odrzekł mniej-więcej tyle: „Mamy naszych Czechów — to prawda, ale wy macie swych Polaków. Prawami wyjątkowemi doprowadzacie ich do tego, że zerkać poczynają ku tamtej stronie granicy t. j. ku Rosyi. To obniża wartość przymierza z wami, bo wy macie trzy miliony własnych poddanych, których sami nazywacie największymi wrogami państwa. Lepiej cofnąć się z tej drogi, bo nie daleko ujedziecie." Tak podług naszej wersyi przedstawia się ta „interwencya" austryacka na rzecz Polaków w Prusach.

Zresztą Prusakom solą w oku jest ten stan polityczny, jaki istnieje w Galicyi, jako w kraju samorządu. Nawiązując do wspomnień 1848 r., gdy to ojcowie nasi nadstawiali piersi, aby wywalczyć stan taki, jaki ma dziś Galicya, pisze **„Dziennik Berliński"**:

„Echo naszych dążeń i tego, czego dziadowie i ojcowie nasi chcieli, odbiło się ostatniemi dniami w obradach sejmu pruskiego. Minister Miquel wprawdzie jakby na odstraszenie lub urąganie rzucił posłowi Jaźdźewskiemu na jego interpelacyę o usuwaniu języka i szkoły: Czy wy chcecie takiej autonomii jak ją ma Galicya? — Przypadkowo było to w tym miesiącu, to jest w marcu, a marzec to wiadomo, miesiąc, że go tak nazwać można — rewolucyjny. Czy to powiew wiosenny rozwiązał ministrowi język, czy przestrach i pamięć marcowych dni wywołały lęk w jego wiernopoddańczem sercu.

„I czegoż to więcej chcieli nasi bohaterowie z pod Miłosławia, Sokołowa, Raszkowa? Nie będziemy mówili tutaj o tem, o ile ich żądania z roku 1848 zgadzały się z ideą ogólno-narodową polską, ale z punktu widzenia W. Ks. Poznańskiego naówczas. Widmo, które obecnie straszy p. Miquela w osobie i postaci samorządu takiego, jak dziś ma Galicya, to widmo straszące dziś ministrów pruskich, było życzeniem powstańców z roku 1848. Za to życzenie oni przelewali krew i długie potem odsiadywali kary więzienne w domach karnych i po więzieniach i fortecach. A nie chcieli oni niczego więcej tylko tego, czego się spodziewali po nowej instytucyi i po ustępstwie monarchy z swoich praw samowładnych, to jest uwzględnienia ich odrębności narodowej w obrębie państwa pruskiego. Niczego więcej! A więc chcieli, żeby w prowincyach polskich wszelkie urzędy administracyjne, sądowe, pocztowe i kolejowe na przyszłość były w ręku Polaków za to, że Polacy na nie płacą swoją krwawicą i potem swoim. A co uzyskali, to wiemy.

„Kiedy za czasów Bismarcka przypomniano w sejmie i parlamencie przysięgę konstytucyjną króla, ów pan z żelazną ręką i właściwą mu bezwzględnością odparł już na to: „Jener Schwur ist keinen Pfifferling wert." (Owa przysięga nie warta ani szeląga).

„Lecz cóż pozostało z owych życzeń bohaterów z pod Sokołowa? Nic a nic. Nietylko, że wyrugowano zewsząd język polski, nawet tam, gdzie on się święcie należy, z sądownictwa, ze szkoły i z na-

uki religii, ale i my puściliśmy te życzenia w zupełne zapomnienie.“

Przechodząc z tej „wysokiej“ polityki do spraw bieżących, niemniej jednak ważnych, notujemy za **„Dziennikiem Śląskim“** fakt, że w końcu zeszłego miesiąca obchodziło bytomskie Towarzystwo św. Aloizego swą trzydziestą rocznicę istnienia.

„Towarzystwo to przez cały czas zrobiło swoje, o ile stosunki na to pozwalały. Było poważane jako najstarsze z towarzystw bytomskich. A choć obecnie ma mniej członków, niż dawniej, jednak ducha nie traci, gdyż spodziewa się, że zawitają znów lepsze czasy. Niechżeby się młodzieńcy garnęli do tego najstarszego towarzystwa naszego, niech starsi, mianowicie ojcowie, zachęcają młodszych swych synów, aby przybywali regularnie do towarzystwa św. Alojzego.

„Z powodu 30-letniej rocznicy odbyło się uroczyste posiedzenie w poniedziałek w święto Matki Boskiej, dnia 26-go marca br. o godz. 6-tej na sali domu katolickich tow., na które zaprosił zarząd wszystkich członków, założycieli, przyjaciół i gości.

„Niech ojcowie swych synów przysyłają na posiedzenia, aby ich zachęcić do regularnego przybywania. Towarzystwo jest przez śp. ks. Bonczka w tej myśli założone, aby młodym ludziom dawać dobre i religijne wskazówki i bronić ich, aby nie schodzili z drogi dobrej i pożytecznej, aby pobierali nauki, jak bronić wiary i języka ojczystego. Gospodarzy z okolicy, którzy dawniej przychodzili, prosi zarząd szczególnie o przybycie, aby się przekonali jak rzeczy stoją.“

Nadmienić wypada, że towarzystwo św. Aloizego w Bytomiu jako jedno z pierwszych dzielnie się oparło nakazowi kardynała Koppa, który chciał rozwiązać wszystkie towarzystwa tego imienia, za ich zbyt wyraźny charakter polski.

Oby następne trzydzieści lat istnienia towarzystwa tego równie obfitowały w usługi, jak minione!

„Przyjaciel Ludu“ pismo, wychodzące obecnie w Poznaniu jako codzienne, zamieszcza w jednym z okazowych numerów bardzo trafny artykuł, w wymownych słowach ganiący karciarstwo i zwracający uwagę społeczeństwa na tę szerzącą się obecnie wadę:

„Grają fornale dworscy i synowie gospodarscy, grają osiwiali gospodarze i poważni majstrowie w miasteczkach. Plaga karciarstwa, jak zaraza, opętała setki tysięcy ludzi. A jakie z tego wynikają skutki, posłuchajmy tych, co patrzą na tę prawdziwą klęskę.

„W pewnej wsi, pod Grójcem, od paru lat mieszka sklepikarz, z pozoru człek bardzo miły i przyjacielski, — ale wielki zwolennik gry w karty. Otóż sprowadziwszy się do wsi, zaczął on zapraszać do siebie gospodarzy na gawędki. Rzecz sama w sobie dobra i mogłaby być bardzo pożyteczną; — cóż kiedy od gawędek przyszło do poczęstunków, potem do pokazywania różnych sztuk, a w końcu do gry w karty i to na pieniądze..... Tym sposobem zwerbował on sobie kilku młodszych gospodarzy, którzy całe wieczory i noce trawią odtąd na tej prawdziwie djabelskiej rozrywce, tracąc czas drogi i pieniądze. Nieraz się zdarza, że przegrywają po kilka i więcej talarów jednego wieczora.

„A czemże jest taka przegrana?

„Jestto zmarnowanie grosza ciężko zapracowanego, stanowiącego majątek rodziny, — jestto — mówiąc bez ogródki — okradanie własnej żony i dzieci... Tak samo kradzieżą jest wygranie cudzych pieniędzy w karty, — jestto bowiem żywienie się cudzą krzywdą, karmienie się łzami tych, których ojciec i mąż pieniądze przegrał.

„Bo chybaż nie raduje się żona takiego karciarza, gdy się dowie, że mąż zmarnował te kilka czy kilkanaście talarów, za które można było prosiaka kupić, podatek zapłacić, czy inną dziurę w gospodarstwie załatać! Nie ucieszy się dziecko karciarza, któremu on żałuje na buty i przyodziewek, na pożyteczną książkę i gazetę, — bo trzeba mu pieniędzy na karty!

„A i wygrany grosz nie sprawi uczciwemu człowiekowi radości, bo w groszu tym cudza krzywda się mieści.

„Gdyby policzyć godziny, marnie trawione u nas nad kartami, to zebrałyby się z tego całe miesiące i lata, przepróżnowane przez karciarza.“

Obok karciarstwa wrogiem rodzimego prawowitego życia jest uczęszczanie do „knajpy“. Trafne uwagi na ten temat znajdujemy w feletonie **„Słowa Polskiego“** we Lwowie:

„Knajpa“, jest wrogiem rodziny, jej pomyślności, jej błogiego wpływu na zdrowie duchowe i cielesne przyszłych pokoleń; „knajpa“ zniepráwia synów i ojców i to zarówno ze sfer zamożniejszych jak z klas ciężko pracujących.

„Kobieta przeczuciem zgaduje niebezpieczeństwo, jakie grozi jej gniazdu. Ona wie, że ta ciemna i zadymiona nora, w której leją się potoki piwa, to jej wróg; ten wróg zabiera zdrowie, umysł, siły; zarobek i nawet przywiązanie jej męża.

„Rozpoczyna się więc walka pomiędzy tą żoną, która z heroicznym wysiłkiem oblicza codzienne wydatki, która noce całe przemyśliwa, co kazać „zrobić jutro na obiad“, aby ten obiad kosztował mało, bo dzieciom z wiosną potrzeba bucików i sukienek, a tu jeszcze zimno, opał kosztuje, służąca marnotrawi masło, raty miesięczne spłacone być muszą pod groźbą zabrania z takim trudem nabytych i spłacanych mebli. Wszystkie te nędze ukryte, straszne te walki, w których ręce opadają, a łzy zaćmiewają oczy — to „pokrywanie“ przed ludźmi braków i udawanie pewnej zamożności wtedy, gdy trzeba w nocy łatać bieliznę, cerować pończochy, często zaczerniać atramentem rękawiczki — wszystko to wzięła na siebie kobieta i ten ciężar na swych przedwcześnie wychudłych i wyniszczonych ramionach z heroizmem najwyższym dźwiga. Lecz, oto poza progiem domu, poza progiem jej gniazda jest taka hydra, która czyha na tego, z którym dzielić miała dolę i niedolę. Prawda, on pracuje, lecz — i na ten heroizm pracy pada plama owej hydry, wyciągającej w przejściach ulicznych swe ramię zwierzęcia, ssącego krew, mózg, zarobek codzienny. Przytem gdy z atmosfery knajpy mąż wraca do domu, jest on inny, nie ten sam — zmieniony, daleki od niej, od dzieci, od tego stołu wspólnego, nakrytego i zastawionego z taką troską nieraz, przygotowaną strawą.“

„Mąż nagadał się w knajpie — teraz milczy. Żona, napracowawszy się całe rano, oczekuje chwili rozmowy, porady, wreszcie uśmiechu. Nie ma nic! Rozmowę, poradę, uśmiech, zabrała knajpa.

B. M.

Głosy od Przyjaciół.

Poznań.

Kochana Praco!

Jako rzemieślnik, który się zastanawia nad potrzebami naszego społeczeństwa i swego stanu, zabieram głos w naszej kochanej „Pracy“, nie mogąc doczekać się, aż inne jakie pismo poruszy niezmiernie ważną kwestyę konkurencyi i bojkotu hakatystycznego, jakiego my doznajemy jako polscy rzemieślnicy w towarzystwach zawodowych. *Hirsch-Dunkerscher Metallarbeiter Verband* ma to być stowarzyszenie neutralne pod względem narodowym i łączyć ma rzekomo obie narodowości. Tymczasem ja, jako polski rzemieślnik, zwracam się przez kochaną „Pracę“ do wszystkich moich kolegów po fachu, wśród których „Praca“ ma tak wielki wpływ i znaczenie i pytam ich: A cóż my, Polacy, mamy odpowiedzieć na te ciągłe zaczepki narodowości naszej po fachowych organach tego związku? Chociaż nas Polaków jest liczba tak bardzo znaczna w tym związku, to my wystawieni jesteśmy na to, jako członkowie, że na nas w organach związku „*Regulator*“ i „*Gewerkverein*“ wciąż napadają, zamiast bezstronnie potępiać obecny system germanizacyjny, na który wstrząsa się z oburzeniem każdy rzemieślnik polski. Jest oprócz tego i *Gewerkschaft-Verband*: tam się spotykają Polacy z większą tolerancyą swej narodowości. Tam może każdy członek tak mówić, jak brzmi jego ojczysta mowa, a nikt nie śmie mu zakazywać, jak się to zdarzyło w *Hirsch-Dunkersche*, że członkom zakazano mówić po polsku.

Ale i siła finansowa tego drugiego związku jest większa. W *Hirsch-Dunck.* wypada na rok i członka 1,12 mk., a w *Gewerkschafts-Verband* aż 12 mrk. Tak samo i kasa chorych daleko wyższe wsparcia płaci, a bierze mniej od *Hirsch-Dunkera*.

Polacy nie powinni odgrywać roli popychadła w Hirsch-Dunck. – a na postępowanie tego związku z Polakami powinni odpowiedzieć wystąpieniem. Nasi rzemieślnicy niechaj się zdobędą na więcej samodzielności i zrozumienia swych interesów narodowych i zawodowych. *Hirsch-Dunckerscher Verband* ma w Poznaniu najwyżej 600 członków, a *Gewerkschaft* conajmniej 1100 członków i zupełnie inaczej zachowuje się wobec Polaków.

Polski robotnik.

NB. Umieściliśmy list powyższy ponieważ dotyka on niezmiernie ważnej sprawy zawodowej i narodowej robotników i rzemieślników. Zgadzamy się z autorem listu zupełnie co do jego zapatrywań na *Hirsch-Dunckerscher Verband* i sądzimy, że po tej nietolerancyi językowej, jakiej ten Związek dał dowód, dla Polaków tam nie miejsce; — jednakowoż nie podzielamy dalszych wywo-

dów autora. Czy wstępowanie do *Gewerku*, które jak wiadomo mają barwę socyalistyczną, byłoby czemś lepszem, niż przejściem z deszczu pod rynnę, — wątpimy. O ile wiadomo nam, ks. prałat Stychel ujął już w rękę sprawę zorganizowania polskiego związku zawodowego, jak ta sprawa stoi dziś, nie wiemy. Sądzimy, że czytelnicy nasi i interesowane strony zechcą wziąść udział w dyskusyi, — zwłaszcza zaś naszych robotników prosimy, aby zechcieli zabrać głos w tej sprawie i nie krępując się formą listu, czy korespondencyi, w dyskusyi publicznej rozjaśnili tę zawikłaną sprawę.

Redakcya „Pracy.“

* * *

Z prowincyi.

Kochana „Praco!“

W początku tego nowego kwartału składam szanownej Redakcyi życzenia wszystkiego najlepszego. My tu na prowincyi już będziemy się starać o to, aby panowie Prusacy poznali, że na nic te konfiskaty i aresztowania, bo lud naszej kochanej „Pracy“ nie popuści i tem bardziej ją będzie popierać. Przecież sam czytałem w jednem piśmie artykuł, za który potem, gdy był wydrukowany w „Pracy“ redakcya skazaną została na 400 mrk. kary, a tamtemu pismu nic się nie stało. Więc wtedy powiedziałem sobie: Ho, ho, panowie, to my tem więcej „Pracę“, będziemy popierać! A teraz kończę i proszę o numery na rozdanie pomiędzy znajomych.

Z pozdrowieniem
Przyjaciel.

* * *

Z Ustronia.

Szanowna Redakcyo!*)

W sprawie wykształcenia kobiet przesyłam poniżej kilka uwag, prosząc o zamieszczenie w swem poczytnem piśmie.

Zmiana warunków społecznych, dzięki której współczesna kobieta coraz częściej znajduje się w położeniu, wymagającem od niej oparcia swego bytu na samodzielnej pracy, prowadzi oczywiście do dalszych konsekwencyi. Przedewszystkiem na polu wychowania kobiet. Jasnem jest, że skoro kobieta ma pracować sama na siebie, to musi też być odpowiednio do tego przygotowana, tj. otrzymać wykształcenie, uzdolniające ją do podjęcia z powodzeniem walki o byt. A gdy się zważy, ile to zdolnych kobiet o całe niebo wyżej stoi pod względem umysłowym od mających małe uzdolnienie mężczyzn, dla których pomimo to stoją otworem wszelkie szkoły, — to przyznać trzeba, że i kobietom wstęp na wszechnicę powinien bezwarunkowo być dozwolony.

W zrozumieniu tej niezbędnej potrzeby liczne uniwersytety udzieliły kobietom prawa wstępu na kursa wyższe, a dzięki temu już w ciągu ostatnich lat cały szereg intellektualnych przodowniczek ruchu kobiecego potrafił zwalczyć wszelkie trudności i do ukończenia studyów wyższych doprowadzić. Ten fakt świadczy, iż praktyczne konsekwencye, wysnute z teoretycznych o prawie kobiety do wyższego wykształcenia — były zupełnie logiczne. A jeśli tak jest, — jeśli kobiecie przyznano prawo do wyższego wykształcenia uniwersyteckiego, to najbliższą konsekwencyą tego musi być uprawnienie kobiet do wykształcenia gimnazyalnego, ponieważ gimnazyalne wykształcenie jest podstawą uniwersyteckiego. A zatem — zreoganizowanie szkół żeńskich w tym kierunku, aby ich kurs odpowiadał w zupełności gimnazyom męzkim.

Przypatrzmy się bliżej temu żądaniu: uwzględnijmy przedewszystkiem zebrane na tem polu doświadczenia w Niemczech.

W Niemczech postarano się uczynić zadość potrzebie wykszałcenia gimnazyalnego dla kobiet w ten sposób, że w Berlinie i Lipsku istnieją kursa gimnazyalne dla kobiet, w Karlsruhe, Kolonii i Wrocławiu zaś — gimnazya dla dziewcząt.

Rezultaty wynikły nad wszelkie oczekiwanie — marnie. Położenie rzeczy najlepiej da się określić paradoksalnem może twierdzeniem, że zakłady te nie wystarczają potrzebom, i że prowadzą żywot nader nikły z powodu braku poparcia.

Przyczyny niezrozumiałego może napozór faktu łatwo wytłomaczyć, jeśli się uwzględni tę okoliczność, że rodzice muszą się zdecydować oddać z domu gdzieś do obcego miasta dwunastoletnią dziewczynkę, że muszą się wyrzec wszelkiego nad nią dozoru osobistego, oddać ją w obce ręce i tem samem niejako usamodzielnić. Z tego więc powodu z prowincyi nie przybywa wcale uczennic do wspomnianych powyżej zakładów. W samem zaś mieście liczba dziewczynek, kształcących się w zakresie kursu gimnazyalnego, nie jest dostateczną, aby szkołę utrzymać.

A przytem gdy się zważy, że wykształcenie t. zw. humanistyczne jest dziś właściwie stekiem uznanych powszechnie wykroczeń przeciw pedagogice, to trudno brać za złe rodzicom, że chcąc córkom swoim oszczędzić losu uczniów gimnazyalnych, z których zal dwie $^1/_5$ część wychodzi ze szkół z upragnionym patentem dojrzałości, reszta zaś do końca życia uważa lata spędzone na ławie gimnazyalnej, za stracone.

Gdy więc z różnorodnych względów takie postawienie kwestyi zakładów gimnazyalnych żeńskich należy uważać za chybione, w jakiż inny sposób należy zadość uczynić potrzebom?

Wskazuje ku temu drogę przykład Holandyi, gdzie w szkołach (np. Haageren Burgerschool vor Jongens met vyfjahrigen cursus), gimnazyastki z gimnazyastami uczęszczają na te same kursa. Wyniki tego systemu są bardzo dobre. Np. jeśli w jednej rodzinie chłopiec i dziewczyna uczęszczają oboje do gimnazyum, to zazwyczaj wywiązuje się między nimi współzawodnictwo, które nauce tylko na dobre wychodzi.

W ten sposób ułatwia się pobieranie nauki niewielkiej liczbie dziewcząt, dla których założenie specyalnego gimnazyum byłoby niemożliwe, a nadto zostawia się je pod opieką rodziców.

Ręka w rękę z przeprowadzeniem tej reformy iść powinna reforma systemu nauczania i zakresu nauki. Program t. zw. humanistyczny nie uwzględnia albo wcale, albo niedość uwzględnia naukę obcych *żywych* języków, a już zupełnie prawie pomija nauki przyrodnicze. Przytem kurs powinien być obliczony najwyżej na przeciąg czasu od 12—17 roku życia.

Oto krótki szkic reform, jakie powinnoby zaprowadzić państwo w interesie wykształcenia kobiet. Rzecz naturalna, że uwzględnienie języka ojczystego powinno zawsze i wszędzie stać na pierwszym planie. Bez ojczystego języka niema zdrowej, obfitującej w owoce nauki.

Ale z obecnym systemem germanizacyjnym, to tak jak w owej bajce: „Mówił dziad do obrazu“ — kto jest tym milczącym obrazem — łatwo mnie każda z matek zrozumie.

Szanownej Redakcyi załączam zapewnienia szczerej życzliwości.

Teresa F.

*) W tej interesującej sprawie zabiera u nas głos jedna z wysoko wykształconych Wielkopolanek.

Z historyi naszych walk.

Powstanie w r. 1830 (listopadowe) wywołane przez młodzież i wojsko, poparte przez lud warszawski, skrzywione i zmarnowane przez szlachecko-magnackie stronnictwo, było dość mocnem, aby wytrzymać ośmiomięsięczną walkę z bardzo już wówczas potężną Rosyą.

Polska dotrzymuje placu stutysięcznym armiom Mikołaja I-go z siłami niemal samej tylko Kongresówki, liczącej podówczas zaledwie cztery miliony mieszkańców.

Po upadku powstania Królestwo Polskie traci konstytucyę i wojsko: lecz kraj cały zyskuje na wzmocnieniu ducha patryotycznego i demokratycznego.

Główna akcya polityczna przenosi się za granicę. Emigracya polska ukazuje się, jako potężny czynnik polityczny.

Zaczyna się okres przygotowań do sławnej pamięci roku 1848-go, który zakończył w środkowej Europie dzieło rozpoczęte przez rewolucyę francuzką. Cała Polska jest reprezentowana w tej robocie — przez Mickiewicza, który słowem i piórem głosi prawo człowieka do równości i wolności; od Lelewela, z którym naradzają się wodzowie demokracyi europejskiej, aż do kaprala z pod Grochowa i Ostrołęki, który bije się wszędzie, gdzie tylko ludzie walczą o wolność.

W kraju idzie także robota polityczna. Ksiądz Ściegienny organizuje chłopów w Kieleckiem;

Konarski porusza prawie całą Litwę; Zawisza, Potocki, Wiśniowski giną na rusztowaniu. Na Syberyi nawet ks. Sierociński tworzy spisek, mający na celu uwolnienie ludów środkowej Azyi od rosyjskiego jarzma.

Nareszcie, gdy już cała Europa drży, jak gdyby stała na wulkanie; gdy w Niemczech, w Austryi, we Włoszech klasa rzemieślnicza i drobne mieszczaństwo zaczyna się poruszać; gdy we Francyi stan czwarty ma już wyrzec po raz pierwszy wobec całego świata swoje „jestem“, znowu i Polska pojawia się na widowni ruchem narodowym w Krakowie i w Poznańskiem.

Udział Polaków w walkach lat 1848-go i 1849-go roku należy do historyi powszechnej.

Lecz nietylko rękami polskich żołnierzy, ale i talentem polskich wodzów Europa posługuje się dla zdobycia wolności politycznej. Mierosławski dowodzi w Badeńskiem i w Sycylii; Bem i Dembiński komenderują na Węgrzech. W zaborze rosyjskim ten okres zaznacza się niesłychaną ilością ofiar.

Po roku 1849 rozpoczyna się najpłodniejszy z okresów: okres pracy nad ludem i przygotowań do krwawej epopei roku 1863-go. Postęp duchowy, moralny i polityczny jest już tak wielkim, że samo prawie mieszczaństwo, poparte przez nieliczną jeszcze klasę robotniczą i garstkę ludu, bez wojska, bez broni, wypowiada wojnę najpotężniejszemu mocarstwu w Europie i prowadzi ją na ogromną skalę przez dwa blizko lata. Zapał narodu jest większym i bardziej powszechnym, niż w 1794-tym i w 1830-tym; jest on tak wielkim, że starczy za broń i wojsko.

Powstanie 1863-go roku tonie w morzu krwi, lecz pozostawia po sobie pomnik nieśmiertelny. którego nie zniszczą całe wieki niedoli!

Pomnikiem tym jest ostateczne rozwiązanie kwestyi włościańskiej. Wolność i uwłaszczenie ludu wiejskiego, postanowione i ogłoszone przez polski rząd narodowy w r. 1862-gim, zostaje przejęte i wykonane przez rząd carski, który w dodatku widzi się zmuszonym nadać jednostajne prawa i swemu własnemu ludowi.

Po krwawych latach 1863—64 następuje chwila wycieńczenia i odpoczynku.

Polityka czynna cofa się w głębie resztek organizacyi. Na innych jednak polach postęp trwa bez przerwy. Literatura, nauka, prasa rozwijają się w dalszym ciągu; sztuka dosięga niesłychanego przedtem stopnia rozwoju; handel i przemysł polski potężnieją i stają się czynnikami pierwszego znaczenia.

Rozwój przemysłu stwarza nową armię żołnierzy do bezkrwawej walki przyszłości — klasę robotniczą, która wolnym, lecz pewnym krokiem dąży do zajęcia należnego jej miejsca. Powstają potężne ogniska przemysłowe, liczące razem około miliona męzkiej ludności robotniczej. Ludność ta dziś znojną pracą na polu ekonomicznem walczy o prawa narodowe i odegra również wybitną rolę, jaką dziś odgrywa warstwa mieszczańska.

Lud wiejski coraz to chętniej garnie się do oświaty i pracy obywatelskiej. Sukmany chłopskie zaczynają ukazywać się też na podworcach cytadeli warszawskiej — za tajną oświatę.

Przyrost ludności i ucisk polityczny i ekonomiczny w Królestwie wywołują prąd emigracyjny. Powstają liczne kolonie polskie, z początku w Rosyi i Zachodniej Europie, później w Ameryce północnej i ostatnio w Brazylii. Kolonie te w ogromnej większości nie giną dla kraju; przeciwnie, zawiązują one coraz to ściślejsze stosunki z krajem i zwolna dojrzewają do wspólnej z innemi dzielnicami pracy nad odrodzeniem Ojczyzny. Pierwsze miejsce wśród kolonii należy się bezwarunkowo Polakom osiadłym w Stanach Zjednoczonych, tak ze względu na ich liczbę, jak i na niezrównane warunki polityczne i ekonomiczne, wśród których żyją i pracują.

Kraj rozumie znaczenie kolonii i ich rolę w przyszłości: z radością i rozrzewnieniem spogląda stara macierz na rozkwit życia narodowego wśród najmłodszych swych dzieci. W kraju od roku 1876, tj. od wojny rosyjsko-tureckiej na nowo zaczyna się budzić ruch dążący ku uświadomieniu politycznemu mas.

Pomimo ucisku i ustawicznego bałamucenia opinii publicznej przez stronnictwa ugodowe, duch narodowy, rośnie. Przyszłość przedstawia się coraz to lepiej dla Polski i coraz to gorzej dla tych, co nie chcą uznać praw polskiego ludu.

W ostatnich latach dobiegającego swego kresu stulecia powstaje potężny ruch polityczny wśród ludu wiejskiego. Daje się to szczególnie uczuć w zaborach austryackim i pruskim. Lecz i zabór rosyjski szybkim krokiem podąża naprzód w tym kierunku.

Jakiż wniosek ogólny możemy uczynić z tego pobieżnego przeglądu z ostatnich kilkudziesięciu lat? Oto ten, że katastrofa 1795 go roku t. j. rozbiór Polski nie był rzeczywistym zgonem Polski politycznej, jak to utrzymują nasi wrogowie i nasi fałszywi przyjaciele. Katastrofa ta była tylko zmianą warunków, wśród których miało toczyć się odtąd życie polityczne narodu polskiego.

Naród polski nie przestał żyć własnem życiem; nie zszedł on z drogi, po której kazało mu kroczyć jego posłannictwo historyczne. Idąc wciąż po tej drodze, służy w dalszym ciągu ludzkości, jak służył jej dawniej; zajmuje w rodzinie ludów swoje własne miejsce.

Z. Z.

Wiosna błyska...

Alleluja! wiosna błyska;
Słońce grzeje, trawka buja,
Ziemia z trumny znów kołyska
Zbóż i kwiatów — Alleluja!
I z tych kwiatów wnet się wonność
Jak kadzidło w niebo wzniesie,
Świat zaściele łąk zieloność,
Chóry ptasząt zabrzmią w lesie;
Aż dziś mroczna i ponura,
Cała ziemia i natura,
Jak świątynia strojna stanie
Na sił swoich zmartwychwstanie.
O! Młodości! wiosno życia,
Wiosno pokoleń ludzkości!
Gdybyś i ty w dniach rozwicia
Sił, zapału i miłości,
Wzorem ziemi i natury,
Wszystko, co ci dane z góry,
Zamiast rozwiać wichrów tchnieniem,
Zamiast spalić żądz płomieniem,
Bożem ziarnem siała światu:
Jakby ono twemu latu,
Samo rosnąć w nieskończoność,
Dało plenność, barwność, wonność!
Jakby ogień w ciebie tchniony,
Blaskiem tęczy a nie łony,
Z ziemi odbijał na niebie
Dla ludzkości i dla ciebie,
Wiecznej pracy budząc życie!
O! i jakby przy tym świecie,
Ziemia z Niebem zawsze społem,
Brzmiały zgodnem a wesołem
Alleluja.

Antoni Edw. Odyniec.



Święcone.

WIELKANOC,
Święcone, Dyngus, Emaus, Rękawka.

Wielki post ze swojem wstrzymaniem się od zabaw i uciech światowych, swojem rozpamiętywaniem i pracami duchowemi, przypada zwykle w porze, która jest przejściem z martwoty zimowej do wiosennego życia. Zaiste trudno było stosowniejszą wynaleźć chwilę do nastrojenia umysłu na ton żałoby, nad te zamiecie marcowe i te kwietniowe zmiany. Kościół, odgadując tajemnicę natury naszej, umiał zastosować obrzędy i uroczystości do pór roku. Jakoż wielki post i adwent przypadają właśnie na czas przejścia, a tem samem nieutrwalonej pory, czas najniezmośniejszy, czy to w naturze, czy w społeczeństwie ludzkiem. Umysł układający się do harmonii ze światem zewnętrznym, skłonniejszy jest wtedy do rozmyślań nad marnościami życia, bo gdzie spojrzy, widzi zamęt, chmury, słońce omdlałe i bojaźliwie ukazujące się na horyzoncie, a za to ma noce długie, przyjazne utworom fantazyi i rojom duchów, których głosy jęczące odzywają się niby w szumie wichrów przedwiośnianych i jesiennych. Ale oto utrwala się zima — i masz święto Narodzin Chrystusa, wesołe i rzewne zarazem, głośne, ale w zaciszu domowem, prawdziwą uroczystość domowego ogniska; tu znowu utrwala się wiosna — i jakby na ożywienie smutkami wysuszonej duszy, następuje największa uroczystość w chrześciaństwie: Wielkanoc — dzień Zmartwychwstania! Wiosna! Zmartwychwstanie! Jakież cudowne połączenie symbolu religijnego z naturą!

Wszystko też, jeżeli tylko ciepłe słońce i pogoda sprzyja, wybucha życiem; domowa zacisza już nie ma powabu, za to wycieczki w pola, łąki, lasy, łączą się z pewnemi pamiątkami, które obchodzą się na wolnem i świeżem powietrzu. To nagłe przejście z umartwień wielko-tygodniowych, z postów, spowiedzi, pokuty, z posępnej żałoby kościołów, obrzędów tak żywo przypominających wielką ofiarę krzyżową, do radości Zmartwychwstania, do życzenia wesołego Alleluja, przy pożywaniu wielkanocnego jaja tyle w sobie mieści poetycznego żywiołu, że doprawdy dziwić się potrzeba naszym poetom, mianowicie tym, co tak czarownie kreślili żywot domowy ojców, iż obrazu uroczystości tej nie wpletli w swoje cudne epopeje. Ktokolwiek wspomnieniem sięga lat dawniejszych, już dziś spostrzega różnicę i czuje chłód wdzierający się we wszystkie nasze obchody i stare zwyczaje. Niechże przynajmniej poezya pochwyci je w swoje złote ramy i zachowa potomnym, aby mogli kiedyś westchnąć i pomyśleć: Życie ojców naszych o ileż było rozmaitsze od nudnej prozy, którąśmy sobie wyrobili zimnym rozumem wieku!

I prawda! porównywując to co dziś jest, z tem co było, przekonamy się, że z każdym dniem ubywa to jakiś zwyczaj, to obrząd, to pamiątka. Weźmy n. p. *Święcone* — wszak to pamiątka z duszy słowiańskiej wypróta, bo jej nie obchodzą w żadnym innym kraju jak u nas: a jednak często usłyszeć można owych propagatorów cywilizacyi, spoglądających krzywem okiem na wszystko co swoje, jak dowodzą: że to barbarzyński zwyczaj

ten zbytek zastawy i jadła; że takie placki, baby i szynki można jeść cały rok a nie w jednym lub kilku dniach. Na to niema co odpowiedzieć, bo jeślibyś chciał dowodzić symboliki jaja wielkanocnego, baranka i owych kołaczy w tak rozmaitych kształtach pieczonych — stracona byłaby twoja erudycya, a raczej naraziłbyś na żart tę całą poezyę wielkanocnego obchodu, która przygotowuje się w Wielkim tygodniu ze wszystkiemi zabiegami, trudami, wysileniami naszych gospodyń. Zaglądnąwszy tylko w tajniki każdego domu, co jeszcze staropolski przechowuje zwyczaj, ujrzałbyś, jaki tam zamęt panuje w ostatnich dniach wielkiego tygodnia! Pani domu nocy nie dosypia, czuwając nad ruszającemi się ciastami, doglądając gorącości pieca, siląc głowę nad najgustowniejszem ubraniem i ulukrowaniem bab i placków, w które sypie przedziwne kordyały i słodycze. A teraz dopiero gdy przyjdzie zastawa! Jaki rozmysł artystyczny! Na ogromnym stole przykrytym śnieżnym obrusem, środek zajmują szynki, ozory, nadziewane prosięta, pieczone baranki, niby to stara gwardya, falanga, o które rozbijają się najzuchwalsze apetyty, wszystko to kupi się w spokojnej powadze dokoła *Agnus Dei*, misternie wyrobionego z masła trzymającego jak hetman tego dnia, chorągiew zmartwychwstania.

Na skrzydłach tego taboru, stoją podobne wieżom, baby, zadziwiające ogromem, a jeszcze więcej lekkością, taka baba to prawdziwy Meisterstück dobrej gospodyni; ciasto jej śnieżne, lekkie, puchowe, wywołuje pochwały mężczyzn, zazdrość obudza w sąsiadkach, które albo nie znały tajemnicy pieczenia, albo żałowały zachodu i pilności i rumienią się widokiem swoich bab z zakalcem. Dalej na brzegach stołu stoją podobne rzymskim mozaikom placki, mazurki z najfantastyczniejszymi wzorami, pełne kokieteryi i smaku; a wszędzie zielenieją się kity bukszpanu, niby to laur wieńczący bohaterów dnia tego; a wszędzie rozrzucone jaja, podobne do piramid kul i granatów leżących na wałach twierdzy... Pożywanie święconego jajka jest treścią, głównym symbolem obchodu, jak przy łamaniu opłatka na Wigilię kolendową; gospodarstwo częstuje niem każdego gościa, życząc szczęśliwego Alleluja i wszelkich pomyślności w życiu. Zwyczaj to starożytny, sięgający owych wieków, kiedy oddawano jeszcze cześć siłom natury. Kościół go zachował, bo myśl jego tłómaczył. W wielu miejscach, gdzie nawet nie wiedzą o zwyczaju święconego, dzielą się jajkiem. Zdaje się, że ubóstwienie słońca było wspólnem wszystkim pierwotnym religiom; jaje ten symbol życia w zarodku, składano na ofiarę promiennemu bogu, który ciepłem swojem życie wyprowadzał z niego. Jeszcze dziś, w jednej z najgłębszych alpejskich dolin, gdzie przez kilka tygodni roku nie dochodzi promień słoneczny, w dniu, w którym ma się ukazać na horyzoncie, wybiegają mieszkańcy o wschodzie, niosąc misy napełnione jajecznicą i przy odgłosie śpiewów i brzęku miedzianych narzędzi spożywają takową.

Ale mniejsza o ginący w imię wieków i podań zwyczaj święconego; dość, że to nasz ojczysty, staroświecki, a jeszcze więcej, że uświęca gościnność, że gromadzi ludzi i łączy ich z sobą nie w imię przedsiębiorstw i spekulacyi, ani rachub politycznych, ale jakimś serdecznym, przyjacielskim i patryarchalnym węzłem. Co za szkoda, jeżeli go ochrzcimy mianem przesądu i wygonimy z pośród nas jako zabytek barbarzyństwa. Po miastach szczególniej coraz mniej go zachowują: niejedna z pań przenosząc czytanie najnowszego romansu nad zajęcie się plackami i babami, albo zupełnie obchodzi się bez święconego, albo jeżeli już chce dopełnić zwyczaju, zakupuje ciasta w cukierni. Ale jakaż to różnica! taka sama jak między rzemieślniczym wyrobem a utworem artysty, który wlał duszę, namiętność w dzieło swej ręki.



Radość z powrotu jaskółek.

Uczeni badacze, którzy robią pracowite poszukiwania nad historyą sztuki w Polsce, usiłując wykazać, żeśmy mieli i naszych malarzy i rzeźbiarzy i budowniczych, nie powinniby pomijać święconego, które w pewnym względzie świadczyło o bogactwie fantazyi i było niejako rzeźbą, tę mającą jeszcze zaletę, że nie tylko zachwycało oko, ale i smakowało wybornie. Opisy niektórych święconych są jakby wyjęte z Tysiąca nocy i jednej. Weźmy tylko jedno takie święcone u Sapiehy w Dereczynie z czasów Władysława IV: „Stało cztery przeogromnych dzików — powiada kronikarz — to jest tyle, ile części roku, każdy dzik miał w sobie wieprzowinę, alias szynki, kiełbasy, prosiątka. Kuchmistrz najcudowniejszą pokazał sztukę w upieczeniu całkowitem tych odyńców. Stało tandem dwanaście jeleni, także całkowicie pieczonych, ze złocistemi rogami, ale do admirowania, nadziane były rozmaitą zwierzyną, alias zającami, cietrzewiami, dropiami, pardwami. Te jelenie wyrażały dwanaście miesięcy. Na około były ciasta sążniste tyle ile tygodni w roku, to jest pięćdziesiąt dwa, całe cudne placki, mazury, żmujdzkie pierogi, a wszystko wysadzane bakalią. Za tem było 365 babek, to jest tyle, ile dni w roku. Każde było adornowane inskrypcyami, floresami, że niejeden tylko czytał, a nie jadł. Co zaś do bibendy: były cztery puhary, exemplum czterech pór roku, napełnione winem jeszcze od króla Stefana. Tandem 12 konewek srebrnych, z winem po królu Zygmuncie, te konewki exemplum 12 miesięcy. Tandem 52 baryłek także srebrnych in gratiam 52 tygodni, było w nich wino cypryjskie, hiszpańskie i włoskie. Dalej 365 gąsiorków z winem węgierskiem, alias tyle gąsiorków ile dni w roku. A dla czeladzi dworskiej 8700 kwart miodu robionego w Brzezie, to jest ile godzin w roku."

Przyznam się, że homeryczne uczty, na których zastawiano ćwierci wołów i całe woły i barany, bledną przy staropolskiem święconem. Ależ puśćmy się dalej drogą uroczystości wielkanocnych. Dzień pierwszy, jak zwyczaj każe, obchodzony bywa w domowem kole. Gospodarz przyjmuje odwiedziny osób, które nie robią święconego u siebie. Nazajutrz odwiedzają się wszyscy. Poniedziałek otwiera się powszechnie bardzo osobliwym zwyczajem, rozpowszechnionym i u ludu i u klas wyższych. Ledwo bowiem oczyś otworzył, a może jeszcze snem sklejone, kiedy budzi cię zimna kąpiel. Szklanka wody wylana na twoją głowę, zmusza cię zerwać się z łóżka; chciałbyś złorzeczyć, łając psotnika albo psotnicę, darmo! śmiech tylko wzbudzisz

i musisz czoło schylić przed starym zwyczajem — bo to oblewany poniedziałek, a raczej Dyngus lub Śmigus. Wielu już sobie nasuszyło mózgu, usiłując dociec początku Dyngusu; różni różnie dochodzili, ale widać że to obyczaj tak stary, że żadne podanie, a tem bardziej drukowane książki nic o nim nie wiedzą. Prostoduszny Kitowicz, kreśląc obyczaje za Sasów, nie zapomina o dyngusie. Powiada on: „że kiedy bywało rozweseliła się kompania, panowie i dworzanie, panie i panny, leli jedni drugich wszelkiemi statkami, jakich dopaść mogli, hajducy i lokaje donosili cebrami wody a kompania dystyngowana czerpiąc od nich, goniła się i oblewała od stóp do głowy, tak aż wszyscy zmoczeni byli, jakby wyszli z jakiego potopu.“ Dzisiaj my daleko mniej swawolni; flaszeczka perfum wystarcza na dyngus. Ależ przepomniałem, że mi chodzi o początek i znaczenie dyngusu. Ten sam Kitowicz także się biedzi śledzeniem przyczyny i naznacza dwojaką, jak zazwyczaj ten czyni, co o prawdziwej nie wie. Podług niego datuje to jeszcze z jerozolimskich czasów, kiedy wierni skupiali się na ulicach i rozmawiali o Zmartwychwstaniu Chrystusowem, Żydzi zaś patrząc krzywem okiem na te schadzki sejmikujących oblewali ich wodą a tem samem rozpędzali tłumy.

Drugą przyczynę dyngusu widzi w pamiątce wprowadzenia chrześcijaństwa do Polski, gdy dla ochrzcenia wielkich rzeszy wpędzano je do wody.

Lud wiejski, trzymający się wiernie starego zwyczaju, w dniu tym wyprawia sceny pocieszne, a mianowicie około studzien. Parobcy od rana gromadzą się, czatując na dziewki idące czerpać wodę i tam porwawszy między siebie ofiarę, leją na nią wodę wiadrami, albo też po prostu zanurzają w stawie, niekiedy w przerębli, jeżeli lód jeszcze trzyma. Porównać ten sumienny dyngus z delikatnym flakonikiem kolońskiej wódki — jaka różnica! jaka wyraźna wskazówka, że w wyższym polorze muszą się zatrzeć te wybitne i szorstkie cechy starego obyczaju!

Po miastach mianowicie, a tem samem w Krakowie i w Poznaniu w pierwszy poniedziałek wylega co żyje na Emaus.

Obchód Rękawki w Krakowie, przypadacy w dzień wtorkowy, jeżeli nie ma związku z żadną pamiątką kościelną, za to daje nam tajemniczy jakiś zabytek niezmiernie starego zwyczaju narodowego. Mogiła Krakusa, tego wodza z odległych wieków, jest widowiskiem nieodgadnionego zwyczaju. Tłumy zalegają wzgórza zwane Krzemionki: jednych wabi stojąca tam kapliczka św. Benedykta — drugich mogiła wznosząca się jeszcze wyżej — a wszystkich pocieszna krotochwila rzucania ze stromej góry jajek, bułek, orzechów, pierników i innych przysmaków, które pnące się po spadzistości paupry wydzierają sobie i w ogniu walki o łakomą zdobycz potrącają się i koziełkują z góry na dół... Znaczenie Rękawki chciano wywodzić od tego, że w rękawkach noszono ziemię przy sypaniu mogiły wielkiemu Krakusowi... Odkrycie nieszczególne! — nieświadczące wcale o praktycznym rozumie starych praojców naszych, którym daleko wygodniej i sporzej było nosić ziemię w połach niż w ciasnym rękawie. Jednakże nie zbijam nieodwołalnie starego podania; być bowiem mogło, że wówczas noszono ścięte poły na kształt naszych fraków— co gdy wyświecone będzie przez panów archeologów, chętnie się na nie podpiszę.

Lucyan Siemieński.



Dyngus.

Wielkanoc.

(Wspomnienie z lat dziecinnych.)

Zdaje mi się, że to było tak niedawno, jakby przed rokiem lub dwoma, a to już temu lat czterdzieści! Czas szybko ucieka i tylko wspomnieniami gonić można chwile dawne, które już nigdy nie powrócą. Byłem jeszcze małym chłopcem, ale i wrażenia młodocianego wieku i to wszystko, co w jasnem zaraniu życia widziałem, utrwaliło mi się w pamięci, jak wierny przyjaciel — do grobu. A jak ów ptak, choć odlatuje w świat, to jednak zawsze powraca do rodzinnego ustronia, tak i ja po pracach moich rad powracam nieraz w lata dziecinne i odszukuję we wspomnieniach różne iskierki, przy których ograć się pragnę. Do tych najmilszych wspomnień należą obchodzone tak uroczyście w domu rodziców moich święta wielkanocne.

Przedświt każdej wiosny jest dla wieśniaka początkiem nowego okresu jego życia, wątkiem nowej nadziei. Choć śnieg z deszczem siecze jeszcze jak ogniem czerstwe jego policzki, a wiatr przejmuje dreszczem do kości, ale każdy promień słońca kruszy pęta lodowe, które krępowały ziemię w jej martwocie, a śpiewem skowronka dzwonią niebiosa nad polami i bocian klekoce nad strzechą, obejmując swoje gniazdo, i trawka kiełkuje w wilgotnej ziemi, zapowiadając błogosławioną wiosnę i lata.

W tej to właśnie porze, przed wiejskim starym dworem, porządkowano od rana dziedziniec. Z gęstych klombów starego bzu i jaśminu wygrabiano zczerniały liść jesienny, podjazd wysypywano świeżym piaskiem, a przed gankiem potrząśnięto nasiekaną świerczyną. Między oficyną, w której mieściła się kuchnia, a dworem panował ruch niezwykły. Był to bowiem dzień wielkosobotni. Co chwila biegały z pośpiechem w jedną i drugą stronę to niewiasty z chustkami zawiązanemi na głowie w rodzaj zawoja, to Brzozosia, stara klucznica, to kucharz, to rumiane, korpulentne bose dziewczęta.

Był w domu naszym pokoik narożny, niewielki, w którym na święta wielkanocne ustawiano święcone na dużych stołach zasłanych białymi obrusami. Białe ściany tego pokoiku przybierano w świerkowe gałęzie, miłą woń lasu da-

jące. Teraz przenoszono do tego przybytku z kuchni i spiżarni ciasta i mięsiwo. Więc najprzód widziałeś jak Brzozosia z niewiastami dźwigała ostrożnie, wysokie na łokieć walcowego kształtu baby szafranowe, przybrane w białe czepce z lukru, różnobarwnego maku i konfitur domowych. Ustawiono je w zwartym szeregu pod ścianami, jakby do boju, który miał się zakończyć ich poćwiartowaniem i spożyciem przez ludzi. U ich stóp leżały pokotem w drugim szeregu, niby wasale, placki pulchne, a grube jak poduszki, wysadzane rzędami białych migdałów i czarnych wielkich rodzenków. Dalej szły słodkie mazurki jak kwadratowe kobierczyki przybrane w lukier, mak kolorowy i agrest smażony. Stół oddzielny przeznaczony był dla mięsiwa. Tu królował postawiony na środku pieczony baranek, przy którego poświęceniu kapłan oddzielne odmawia modlitwy. Po kostki z tego baranka zwykle przychodzili po świętach wieśniacy, aby zakopać je w czterech rogach granic wioski, w sobotę przed „przewodami“, co miało zabezpieczać od klęsk i gradu. Na wielkiej misie stos różnobarwnych i wzorzystych pisanek rozweselał ten obraz tylu ofiar świata zwierzęcego, poświęconych kwoli uroczystości dorocznej i niekłamanych apetytów wiejskich. Obok baranka czarna głowa potężnego wieprza, z uszami postrzępionemi nieco za jego życia przez kundle, trzymała w rozwartej paszczy białe jajko, przypominając zdala głowę negra z białemi zębami. Para rumianych prosiąt z zmrużonemi oczami i pozakręcanymi kokieteryjnie ogonkami, trzymających korzenie chrzanu w zębach, świadczyła, iż ofiarą tej rzezi wielkanocnej padali nie tylko ojcowie, ale i niewinna ich dziatwa. Indory, które za życia tyle sprawiały na naszym dziedzińcu harmidru i okazywały buty, leżały teraz cicho, wykazując tylko, że były przed śmiercią przemocą utuczone, a po śmierci nadziane. Stos kiełbas podobien był do węża skręconego w sto pierścieni z niewidzialną głową i ogonem.

Mięsiwo przyozdobione było jak i ciasta gałązkami zielonego barwinku, a panował nad niem krzyż obrośnięty jasnozieloną, drobną, gęstą rzerzuchą, coroczny popis starego ogrodnika. Na ziemi stały naczynia z galaretą, z nóg wołowych przyrządzoną i kosze z rumianymi pierogami, co wszystko przeznaczone było dla czeladzi, dla której kupiono dwa tuziny wielkich nowych misek, aby każdemu nadzielić czubatą porcyę wszelkiego mięsiwa.

Dziś wydać się może dziwnem, kto to był w stanie spożyć tyle jadła i zapasów? Owóż wiedzieć trzeba, że wówczas na stole dworskim utrzymywano połowę służby i czeladzi, a mianowicie wszystkich bezżennych i niezamężne, a każdy otrzymywał święcone oddzielnie, składające się z wielkiego pszennego pieroga i głębokiej misy, naładowanej mięsiwem rozmaitem. Pamiętano o święconem dla sierót we wsi i starych sług, dla ludzi bez ogniska rodzinnego, kalek i podróżnych. Dostawała święcone służba przybyła z gośćmi, bo przez dwa dni świąteczne prawie nie gotowano zwykłego obiadu, śniadania i wieczerzy. Był przytem zwyczaj przechowania niespożytych na Wielkanoc bab i mazurków, aż do Zielonych Świątek.

Wszystko oczekiwało w Wielką sobotę na przybycie proboszcza, który w dniu tym objeżdżał dwory, wioski i zaścianki, poświęcając swym parafianom dary Boże. Na dom nasz przypadała kolej w godzinie południowej. Gdy nadeszła wieść o przybyciu kapłana, powstał we wsi ruch niezwykły. Biegano z tą wiadomością od chaty do chaty. Z pod każdej strzechy wychylała się kobieta, niosąc spiesznie do dworu słomianą, o płaskiem dnie, owalną kobiałkę z ciężarem, w biały, czysty, szeroki z frendzlami ręcznik domowej roboty, zawiniętym. Następowała chwila tradycyjna, charakterystyczna. Przed starym gankiem na czterech słupach wspartym, wieśniaczki ustawiały na ziemi swoje kobiałki w duże półkole i odkrywały z białych zasłon to, co do poświęcenia przyniosły. Były to wszystkie prawie analogiczne, ze święconem we dworze, przedmioty. Jeno uboższe, skromniejsze i brakowało tylko mazurków. W każdej kobiałce kraśniało kilka pięknie rysowanych pisanek, rozpierał się owalny pierog, taki sam jak dworskie, do boku jego tulił się świeży ser śnieżnej białości, opasany wiankiem kiełbasy, kawał wędzonki i sól do poświęcenia nieodzowna. U możniejszych pyszniła się babka żółta od krokoszu, pękata, bo zwykle upieczona w starym garnku, który przy wyjęciu ciasta musiano rozbijać, i wyglądało ciekawie z pod ręcznika blade prosię z jajkiem lub chrzanem w zębach. Wszystko przybrane było zielonym barwinkiem i gruszewnikiem leśnym i roztaczało woń niezmiernie przyjemną dla tych, którzy przez cały post wstrzymywali się od nabiału, okrasy wszelkiej i mięsa.

Gdy dano znać, że już nikogo z wioski i czeladzi dworskiej z kobiałką nie brakuje, postawiono w środku półkola, przed gankiem, ceber z wodą studzienną. Wychodziliśmy wszyscy na ganek z kapłanem, ubranym w białą komżę, który przeczytawszy z książki modlitwę, sypał szczyptę soli do cebra wody i podanem mu domowem kropidłem skrapiał kobiałki, a potem lud obecny i nas wszystkich, czyniąc znak krzyża na sobie. Taka sama ceremonia odbywała się potem w małym narożnym pokoiku. Teraz cały lud w przyniesione z sobą flaszki czerpał skwapliwie z cebra wodę święconą, którą w każdym domu chowano do poświęcenia nowych mieszkań, budynków, dobytku i do chrztu niemowląt w nagłej potrzebie. Księdzu odjeżdżającemu wstawiono do bryczki koszyk z babką lub plackiem. Resztę niewyczerpanej wody z cebra wlano do studni.

W nocy starsi jechali na rezurekcyę, a dzieci pozostawały w domu. Z kościoła całe obywatelstwo wstępowało do proboszcza, powinszować pasterzowi świąt Zmartwychwstania Pańskiego i podzielić się jajkiem święconem, a kolator zapraszał go do siebie na święcone w dniu pierwszym. Lud powracał ze świątyni rano do domów swoich, zacinając konia batem z powodu gorączkowego pośpiechu zakosztowania ,,święconki.“

Wielkanoc bywała zawsze domową uroczystością wielkiej wagi. Zgromadzała

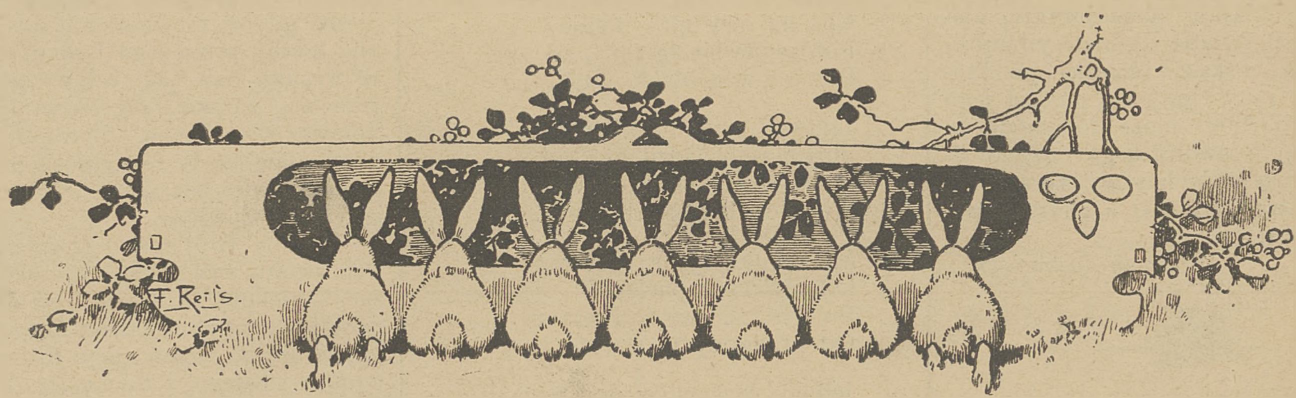


Misterye wielkanocne.

bowiem prawie każdą rozpierzchniętą po świecie rodzinę pod dach domowy, dla ogrzania przy rodzinnem ognisku. Jak owe rozłożyste konary drzewa tylko przy pniu swoim stanowią krzepką spójnię, z której w dal odrosły, tak i krewni przy macierzystem ognisku łączą się w bratni węzeł, powinowaci poznają się i zbliżają wzajemnie, sieroty przybywają otrzeć swoje łzy i zapomnieć o niedoli pod strzechą krewnych. To też w pierwszym dniu święta każda rodzina pozostawała sama z sobą, drugi zaś i trzeci (tak po dworach jak u ludu) przeznaczony był na wzajemne odwiedziny sąsiedzkie, a zabierano z sobą i dzieciarnię. W dniu drugim śmigus czyli dyngus rozweselał młodzież, zarówno po dworach jak zaściankach i chatach wiejskich, z tą tylko różnicą, że gdy w pierwszych opryskiwano znienacka lub za kołnierz pachnącemi wódkami, to u ludu zwykłą miarą był garneczek, lub wiadro wody, a często pod kubłem przy studni, doszczętna kąpiel, przytrzymanej przez parobczaków dziewki, lub odwrotnie.

Zacna staruszka, nasza krewna, która młodość przepędziła w Wileńskiem opowiadała nam zawsze podczas świąt Wielkanocnych, że u jej dziadostwa wypiekano baby olbrzymiej wysokości i rozmiarów, bo na każdą szedł garniec mąki. *Pirogi* czyli placki wypiekano także ogromne, koliste, (od tego kształtu kołaczami niegdyś nazywane), mające blizko łokieć średnicy i „piędzię wysokości.“ Mazurki były za to cienkie, ale szerokie i długie. W pierwszych dziesiątkach lat XIX w. słynął w Wilnie piekarz Malinowski, który na stoły wileńskie dostarczał baby łokciowej wysokości, ozdobnie na wierzchu cukrami przystrojone. Lud w Wileńskiem wyprawiał także uczty na mogiłkach zakończając święta z duchami zmarłych, z którymi już w domu podzielić się jajkiem święconem nie mógł.

Zygmunt Gloger.



Pisanki.

Nad kwestyą malowania jaj wielkanocnych zastanawiali się uczeni już w wieku XVII, jak świadczą dzieła całe, traktujące o jajkach wielkanocnych, wyszłe w latach 1682 i 1705 w Heidelbergu i Frankfurcie nad Odrą. Wcześniejsze ślady o jajkach malowanych znajdują się w dziełach Juwenala, Owidiusza i Pliniusza.

Podanie greckie zapisane w rękopiśmie z wieku X-go, jakoby zwyczaj malowania jaj wielkanocnych wprowadziła św. Magdalena, powtarza się w bardzo zbliżonej formie w opowieści ludu polskiego. Bolejącej Maryi Magdalenie, przy pustym grobie Zbawiciela ukazał się anioł i rzekł: „Nie płacz Maryo, Chrystus zmartwychwstał!“ Uradowana, pobiegła do domu i ujrzała wszystkie jajka, które w izdebce swej chowała, ubarwione na czerwono. Gdy wyszła z niemi przed dom, napotkała apostołów i poczęła im te jajka rozdawać, głosząco zmartwychwstaniu Pańskiem. Jajka w rękach apostołów zmieniły się w ptaki, świadcząc, że tak samo i ze śmierci Chrystusa powstał żywot wieczny dla ludzi.

W Siedleckiem utrzymują, że kamienie, którymi ukamienowano świętego Szczepana, zamieniły się w pisanki. Inna legenda głosi, że: gdy prowadzono Jezusa na śmierć, pewien ubogi niosący na sprzedaż kilka jajek do miasta, postawił koszyk i pomagał krzyż dźwigać Zbawicielowi, a gdy powrócił do koszyka, ujrzał, że jajka przemieniły się w kraszanki i pisanki.

Nazwy jaj wielkanocnych zależą od sposobu, w jaki zostały pomalowane. Ufarbowane na jeden kolor, czy to przez gotowanie, czy przez moczenie w pewnym barwniku, noszą nazwę malowanek, kraszanek lub byczków. Jeżeli na tem jednostajnem tle wyskrobany jest (za pomocą ostrego narzędzia) deseń, to jajko nazywają skrobanką lub rysowanką. Wreszcie, jeżeli jajko zdobi różnokolorowy deseń, przez pokrycie woskiem pewnych



jego części, a następnie gotowanie w barwnikach, to zowią je pisanką, a sposób malowania — pisaniem. Jest jeszcze jeden sposób przyozdabiana jaj, rzadziej używany, przez nalepianie w deseń „duszy“ z bzu lub sitowia i wyklejanie kolorowymi papierkami, złotkiem i gałgankami.

Barwniki otrzymuje lud zwykle z roślin. Na kolor żółty gotują jaja w łupinach cebuli, w odwarze z kory dzikiej jabłoni, lub w pączkach kwiatu knieci błotnej; na brunatny w brazylii, lub moczą w wodzie stojącej w wydrążeniu pnia dębowego; ną fioletowy — w listkach kwiatu ciemnej malwy; na zielony — w kotkach osiki z ałunem, w listkach jemioły lub żyta młodego; na pomarańczowy — w krokusie; na czarny — w korze z olchy i młodych liści klonu czarnego; na czerwony — w odwarze, z robaczków „czerwcem“ zwanych.

Pisaniem zajmują się w czasie przedświątecznym dziewczęta, czasem młode mężatki, rzadko chłopcy. Do „pisania“, t. j. nakładania wosku na jaje, służy szpilka, igła ze złamanem uszkiem lub narzędzie zwane „pisakiem“, albo „kwaczykiem“ zrobione z małego patyczka rozłupanego na końcu, gdzie osadzona jest cieniutka rurka blaszana, cienki pieniążek lub koniec sznurowadła. Sposób i technika malowania pisanek, są bardzo rozmaite i świadcą nieraz o niepoślednim zmyśle wiejskich malarek. A są między niemi i mistrzynie, zażywające ustalonej sławy w okolicy. W ich ręku „pisanie“ idzie tak zręcznie i szybko, z taką pewnością rzucają ornamenty, że uwierzyć trudno, jeżeli się tego nie widziało. Co dziwniejsza, że nigdy prawie nie robią wstępnych wymiarów, a deseń wypada zawsze równo czysto.

Oprócz fantazyi w rysunku pisankowym tkwią motywy prawidłowe, stałe i wszędzie się powtarzające, lub właściwe niektórym tylko miejscowościom. Rządziła tu więc i tradycya z pokolenia w pokolenie podawana. Ornament ludowy nie powstał nagle, kształcił on się przez wieki całe. Z form pojedyńczych, prostych, z kilku zaledwie linii równo-

legle lub na krzyż kładzionych, wyrodził się ornament złożony, tchnący bogactwem formy. Przyroda była mu matką a fantazya sukienką, w którą się potem przyodział.

Pisanek jest mnóstwo, a choć na każdej fantazya ludowa wytworzyła ornament odmienny, charakter i barwy owocowi właściwe zostały zachowane najdokładniej. Stosownie do pierwowzoru, z którego rysunek był brany, nadawane bywają i nazwy poszczególne pisankom. Z rozkrojonego jabłka na połówki, z tkwiącemi w niem pestkami, powstał deseń „w jabłuszka.“ Dzwonek polny wytworzył nazwę „w dzwoneczki“; gałązka sosnowa — „w sosenki“; topola — „w topolki“; kogut — „w koguciki“; kurza łapa — „w kurze łapki“ i t. d.

Zebranie i poznanie ornamentu ludowego w całym kraju może dorzucić niejeden promień światła do historyi kultury człowieka, wskazać ścieżkę, po której kroczyły i rozwijały się pojęcia jego o pięknie i formie, może dopomódz do pozbycia się niewolniczego naśladownictwa wzorów obcych a wytworzyć rysunek samoistny, swojski z charakterem własnej twórczości.

Szczęsny Jastrzębski.

Dzwony.

A te dzwony! te dzwony!
Gdy zabrzmią wśród błękitu,
Po ziemi i po murach
Idą dreszcze zachwytu.

Aż do najdalszych kresów,
Aż po chatki rybacze,
Miasteczko drży i dźwięczy,
I modli się, i płacze...

Gdy ich serca przed sumą
Rozkołysze niedziela,
Przysiągłbyś, że to w chmurach,
Anielska gra kapela.

Brzmią tam basy głębokie,
Wiolin brzmi fletowy,
Dźwięki spiżu, kryształu
I ust lubych wymowy.

Pod wieczór, już smętniejsze,
Ciszej na nieszpór dzwonią,
Jak gdyby odurzone
Kadzideł mocnych wonią.

A jak dym z trybularza,
Tak melodya senliwa
W letnim, przejrzystym mroku
Powoli się rozpływa.

Gdy kto z mieszczan do Boga
Z ziemskiej wraca tułaczki,
Dzwony nad tego trumną
Rozpaczają jak płaczki.

W pomieszanym ich chórze
Dziwne wówczas brzmią głosy:
Dźwięczy rydel grabarza,
Szczęka krzywa stal kosy..-

Niekiedy sygnaturka,
Jak przelękła ptaszyna,
Głosem drżącym, zdyszanym
Jęczeć w górze poczyna.

Kto w mieście ją usłyszy,
Zamyśla się i lęka;
Kogo doleci w domu —
Przed obrazami klęka.

Wie każdy, że to gasną
Czyjegoś życia zorze,
Że ktoś w cichem miasteczku
Kona — skonać nie może...

Inny jest jeszcze śpiewak
Rozgłośny, chociaż mały,
Co oprócz letnich skwarów
Świegocze przez rok cały.

Co rano, w mgłach jesieni
I wśród zimowych mroków,
Do szkoły, do nauki
Woła dziatwę z obłoków.

Gdzie ty, chłopiąt drużyno,
Coś na owy głos biegła?
Połowę życie zgięło,
Połowa w grobach legła.

Jednych wiek okamienił,
Innym pobróździł czoła,
A w górze ptak śpiżowy
Wciąż tych i tamtych woła...

Miasteczko sypia twardo,
Odmówiwszy pacierze,
Bo wie, że święty Floryan
Od przygody je strzeże.

Jednak czasem, w noc późną,
Zrywa się w nagłym lęku —
Pełne blasku ma izby,
Powietrze pełne jęku.

Dzwon wielkim głosem płacze,
Płacząc, jak człowiek gada;
W ciszy słychać wyraźnie:
„Wstawajcie! Biada! biada!“

Rozpacz głośna i skarga
Niebo biorąc na świadka —
Tak nad dziećmi boleje
Z rozdartem sercem matka...

Ale najboleściwiej
Brzmi muzyka wieżowa,
Gdy się za dachów szaniec
Słońce gasnące chowa.....

Wiktor Gomulicki.

Skowronek.

Z tych wszystkich, którzy za granicę uciekają, on pierwszy powrócił. Toż zima trwała jeszcze, dopiero się luty kończył, i nie wiadomo było, co święty Maciej przyniesie, a ty, śpiewaku, już przybyłeś!

Przyleciał do nas wędrowiec, blizki krewniak czubatej dzierlatki, co to z nami zimuje, latuje i za pan brat z wróblami w śmieciach około chat grzebie. Ha, na roli się urodził, a rolnik punktualny być musi!

Cóż z tego, że on tylko śpiewa? Rola także piosnki potrzebuje.

Nie wabią go ogrody, gaje, zarośla, ale przestronne łany z oziminami, łąki, pastwiska, ugory — step bodaj, byle miał dużo przestrzeni, gdy w górę wzleci i stamtąd na padoły spojrzy.

Do bryłki ziemi zupełnie podobny. „Niech oraczowi nie będzie smutno, gdy rolę uprawia!“ — rzekł Stwórca świata i w przestwory rzucił grudkę ziemi, a ta ożyła i zaczęła śpiewać.

On z ziemi lubi patrzeć w odkryte niebo, z pod nieba — na odkrytą ziemię.

Przycupnął też odrazu na ziemi i cichy, skromny, zapewne swe piosnki układa.

Jednego ranka słońce prześlicznie wzeszło, więc zaraz z pod skibki ziemi wychylił głowę, podskoczył parę razy i, nucąc, począł się w górę wznosić. Ach, jak ciepło, jak dobrze, jak pięknie!..

Wiosna!

I jak tu nie śpiewać? To też od wczesnego świtu do późnego zmierzchu pieśniom skowrończym końca niema.

Musi być pełen natchnienia, skoro tak śpiewa a śpiewa. Czyżby zawodził pieśń, gdyby nie miał nic do powiedzenia, gdyby serce jego było puste? O nie, skowronka, tak jak człowieka, uczucie zniewala, zmusza, aby się wypowiedzieć! Śpiewa, więc kocha. Żywe uczucie jest proste; ale kiedy je wygłosić przychodzi, pieśń płynie bez końca, gdyż uczucie jest niewysłowione.

Dziwny twój zawód pieśniarzu—opiewać światu swe szczęście, nadzieję, a może — niedolę. Uczucie niby błyskawica, przebiegło przez całą istność, jego echa rozlegają się po duszy, jego dreszcze przejmują cię całego, i to musisz, koniecznie musisz wypowiedzieć w pieśni...

Przecież on tylko śpiewa, a jednak najpierwszy z pracowników dziennych do pracy śpieszy, ostatni na spoczynek idzie. Kocha widać tę sztukę swoją i z całą namiętnością jej się oddaje.

Wzbija się oto po linii, skręconej jak muszla, zatrzymuje się w powietrzu, trzepocze skrzydełkami, coś w rodzaju powietrznych pląsów — rozpoczyna swe hymny. Zapala się, wzlatuje wyżej, wisi w błękicie „jako plamka szara“, nareszcie zupełnie znika ze wzroku, i tylko dźwięki pieśni jego słychać.

W tych podobłocznych krainach istny gwar skowrończych pieni — turniej bardów, śpiewaków roli.

Ale wyczerpał się oto, czuje, że mu wkrótce zbraknie sił do pieśni i do górnego lotu.

Opada, zniża się powoli, to lekko spływa, rozpostarłszy skrzydła, to znów przystaje, wydobywa z siebie ostatnie dźwięki. Skończył, wyśpiewał już wszystko, tchu nie czuje w sobie... Zwinął skrzydła i jak kamień martwy całym pędem spadł na niwę swoją. Bo ten poeta-rolnik gospodaruje na swojem; całe pola dzielą się na posiadłości skowrończe, a właściciele pilnie strzegą praw dziedzictwa.

Naturalnie, że na przepisy takie bynajmniej nie zwraca uwagi krogulec, ów wróg straszliwy, przed którym trwoga skowronka nie zna granic.

Ileż to razy zaśpiewany w górnych sferach pieśniarz pada ofiarą swojego zachwytu, gdy go niespodzianie zaskoczy chytry drapieżnik!

O i człowiek, niestety, nie ustępuje w okrucieństwie krogulcowi, gdy pragnie zaopatrzyć swą kuchnię i klatkę!...

Adolf Dygasiński.

RODZINA-DOM.

Jadwiga z Z. S.

(Ciąg dalszy.)

O! jeśli wątpisz — biednyś, stokroć biedny... a jeśli wierzysz w nie — silnyś i potężny stokrotnie!

Mickiewicz, gdy raz był przepełniony goryczą i smutkiem, gdy zwątpienia czarne skrzydło już czuł nad swoją myślą — ocknął się — orzeźwił i wtedy w wierszu pięknym powiedział te słowa:

„Widziałem mężną cnotę w ucisku,
W głowach pospólstwa ciemnotę,
W głowach rozumnych widoki zysku,
A w sercu niewiast pustotę.
Lecz dziś — rozpaczą nie będę grzeszył,
Bo nim te brzegi odpłynę...
Bóg mię widokiem nowym pocieszył,
Poznałem ***zacną rodzinę.***“

W tych słowach wielka jest głębia myśli i siła prawdy poznanie zacnej *rodziny* — to znak nadziei w przyszłość, to dodanie mocy i hartu dla walk wśród burz, to napojenie ust spałonych ożywczą wodą ciszy i spokoju.

I my powiedzmy z Mickiewiczem, ilekroć zwątpienie i rozpacz ku nam swe szpony wyciągają, iż grzeszyć nie będziemy, bo znamy zacne rodziny w Polsce i w ich życiu, cnotach, zasadach, widzimy właśnie to, czego żadna siła przemocy zabrać nie może — żaden „ukaz“ nie obali — żadne więzienie ani zesłanie nie zabije.

Słodko jest w to wierzyć. Skrzydła otuchy rosną nam wtedy — uczucie nadziei rozwija się. I gdy słowa Mickiewicza powiadają, że rozpaczą nie będą grzeszyć — my również od tego grzechu chrońmy się, ale — wierząc w złote przędziwa — patrzmy i na te szare, nie doprzędzone — nie dosnute — wielbiąc rodziny wzorowe — zacne, silne — nie patrzmy w zaślepieniu na nasze wady, wady naszych domów i rodzin, na to, co koniecznie trzeba zmienić, nad poprawą czego trzeba czuwać bezustannie.

*) „Bo cóż słodszego nad rodzinny związek,
Co wielkiem drzewem jedności wyrasta,
I pełen wiecznie zielonych gałązek
Ocienia sobą cały obręb miasta,
I nad tę wiarę, która wszystko zbliża
W nawie kościelnej u jednego krzyża!..
I cóż świętszego? nad domowe cnoty,
Nad tę tradycyę żywą, starożytną...
Cóż jaśniejszego? nad ów szczerozłoty
Wesoły uśmiech, którym twarze kwitną...
I nad tę cichą zacnych serc zażyłość,
Co niesie szczęście — niosąc z sobą *miłość!...*
Rodzina daje to wszystko.

*) Asnyk.

Daje nam, którzy jesteśmy jej członkami, daje i Ojczyźnie, której jest cząstką i dla której na wielkim zagonie przyszłości rzuca swój siew tak cenny.

O tem, czem jest rodzina w swych powinnościach, obowiązkach, zasługach i plonach, będziemy gwarzyć dalej. Teraz jeszcze zatrzymamy się na chwilę z zapytaniem:

— Czem jest życie *bez rodziny?...*

Sierota, w ustach ludu, w jego poezyach, legendach, baśniach, jest zawsze istotą tak wyidealizowaną, tak piękną, a pełną smutku i łez, tak krzywdzoną i poniewieraną, samotną i opuszczoną, iż niema zda się serca, najbardziej zimnego, któreby się na obraz życia sieroty nie roztkliwiło i podobnego losu nie bało.

A jednak jest wielu wśród nas, którzy dobrowolnie obierają życie samotne — bezdomne — sieroce, a żyjąc dla siebie, jedynie dla siebie, nie przędzą cudnej nici szczęścia i Ojczyźnie nie pomagają pracą nad uchowaniem młodego pokolenia, zasiewem cnót.

Rzecz naturalna, nie mówi się tu o osobach poświęconych służbie dla Boga — lub o tych, które nie z *samolubstwa*, ale z *poświęcenia* o szczęściu swem nie myślały. Każda jednostka w narodzie, która z własnej woli — z samolubstwa, lenistwa, chciwości nienasyconej — żyjąc samotnie, nie zakłada ogniska nowego — nie buduje domu, nie tworzy rodziny — krzywdzi Ojczyznę tak srogo, jak srogo czynią to wrogowie, którzy chcą zaguby naszej.

Jako ptaszyny młode, gdy o własnych siłach szybować poczną, zaraz szukają kątka dla siebie na nowe gniazdko — tak i młode serca ludzkie powinny tęsknić do założenia własnego ogniska i przyjęcia na siebie nowych obowiązków.

Gdzie gaśnie życie rodzinne — tam naród chyli się jako ruina do upadku.

Gdzie coraz mniej związków serdecznych opartych na prawie Sakramentu, gdzie coraz mniej rodzin, tam jest rozkład moralny, tam nikczemność bierze górę, a bród niszczy jasne koloryty cnót i ideałów narodowych.

— Bez *rodziny* — źle i pusto — głucho i samotnie, ale — wygodniej dla kieszeni, powiada dziś niejeden z tych młodych ludzi, którby mógł się ożenić, więc żyje sobie sam dla siebie. I jakież to życie?...

Czyż trzeba dokładnie przechodzić punkt za punktem — rys za rysem, aby wykazać obraz życia takiego?...

W pustym i chłodnym domu, musi i serce stygnąć, muszą uczucia zaniknąć — musi być dom tylko *mieszkaniem,* ale nie *domem.*

Każdy pojmie, iż między tymi dwoma wyrazami jest bardzo wielka różnica.

Mieszkanie dla człowieka jest tem, czem jakakolwiek kryjówka dla zwierzęcia . Osłona i ochrona.

A *dom* jest cząstką życia i cechą życia. Do domu pustego, wraca człowiek po pracy dziennej, częstokroć zmęczony bardzo, nie jeden raz smutny, rozżalony — z tym lub owym kolcem w duszy.

Czyż znajdzie ukojenie, osłodę — zachętę do wytrwania? Czyż go troskliwość słodkiej opieki pocieszy — umocni — wynagrodzi za te bole, jakie od obcych znosił?

Chyba pająk spuści się po swej szarej nici — chyba jaki obraz niemą mową zagada... Więc też najczęściej z pustego domu ucieka co najrychlej, i spieszy czy to do piwiarni, restauracyi, klubu lub kolegów, albo co gorsze, idzie kędyż wśród ludzi zbrukanych i w kałuży upadku .tonących.

W takiem życiu — muszą przygasać promyki jasne, muszą tępieć i marnieć serdeczne porywy i pragnienia, musi się koło naszego jestestwa coraz bardziej ścieśniać i zmniejszać.

Lecz gdyby tylko tyle było szkody!

Niestety — życie bezdomne, samotne, wiedzie dalej — dalej — a często tak, iż ani krzyża na tej drodze nie ma, ani szeptu pacierza nie słychać, ani miłosierdzie tam nieznane, ani ofiara i służba dla Ojczyzny nieprzypomniana — a za tem noc i nicość!

Kto Ojczyznę kocha, kto chce stwierdzić życiem całem, iż dla niej w pracy wytrwa, jej na sławę i moc chce wszystko oddać — ten — życiem rodzinnem nie gardzi, nie lekceważy go, nie odtrąca od siebie, ale owszem szanuje je i ceni, bo pojmuje, ile przez nie i w niem można zdziałać.

Są wpływy, które usiłują odwieść naszą młodzież od zakładania ognisk rodzinnych, które nieznacznie, tysiącznymi sposobami do tego wiodą, aby to życie zniszczyć, życie podniosłe i zacne, które jak anielskiem tchnieniem i czuwa i wiedzie i kieruje, a wznosi zawsze wyżej nad samolubstwo.

Czyż trzeba wymieniać, zkąd fala ta płynie i dokąd dąży?...

Historya naszej Ojczyzny z czasów najsromotniejszego upadku daje zanadto wiele wymownych dowodów na to, abyśmy poznali, ile się dokona wtedy, gdy się życie rodzinne podkopie w swoich fundamentach.

Nam dziś nie stronić od tych obowiązków, ale do nich nawoływać, ale je uznać jako doniosłe i równoważne z sprawą obrony przeciw tym, którzy chcą ostatnią iskierkę życia zagasić i stłumić.

Jako naród z stanu dzikości przechodzący w świat oświaty i prawdy — zaczyna organizować w sobie rodziny — tak przeciwnie, naród, który życie rodzinne poniewiera, depce i brudzi, wraca do dzikości obyczajów i upadla się moralnie. Gdzie w narodzie istnieje cześć i miłość dla rodzinnego życia — tam nie ma obawy przed żadnem doświadczeniem, nieszczęściem i niewolą. Tam naród stokroć zabijany i deptany i truty — żyć nie przestanie.

Ale aby tak było trzeba rodzin zasługujących na cześć, uwielbienie i miłość!...

— Cóż są wasze ***małżeństwa,*** *jeśli nie łańcuchy, które związują tylko ręce — a nie* ***duchy...*** powiada Mickiewicz z bólem i żalem... a my słowa jego często możemy powtarzać dlatego, aby przestrzegać i od podobnych związków ustrzedz, od związków łączących istotnie tylko dłonie, a nie serca i duchy.

Dlatego, iż wiele jest małżeństw związanych tylko formą, interesem, modą, lub innymi środkami, dlatego nasze *domy* nie są „rajem“, nasze *rodziny* nie są aniołów siedliskiem i dlatego wpływ rodzin w narodzie nie jest tak silnym, jakby być powinien.

Ta lub owa panna wychodzi za mąż, ażeby uniknąć sromotnej nazwy staropanieństwa — aby mieć byt i dobrobyt, aby nie być ciężarem rodzicom, nie tułać się sieroco po świecie. Ten lub ów zaś żeni się, aby zapłacić długi, aby mieć wikt i wygodę, aby uzyskać jaką protekcyę lub tym podobne sprawy.

W takich związkach, rzecz zupełnie naturalna, iż miłości nie ma. Nie ma jedności zdań, nie ma zespolenia myśli w jedno ognisko, więc potem miasto cudownej tkanki szczęścia, snuje się okropna — straszna plątanina niedoli — nieszczęścia — niezgody i — odstrasza innych od zawierania związków, które dają „łańcuchy i wiążą nie serca, ale ręce.“

Kto bez miłości zabiera się do rozpalenia ogniska rodzinnego — nie utrzyma go stale, choćby znosił najlepsze drzewka do palenia, choćby chuchał i dmuchał na nie bezustanku. Zagaśnie — jeśli wzajemnej, świętej, trwałej miłości nie będzie.

I dom, choćby był najwspanialszy — największy — najpiękniejszy — będzie zawsze zimny — pusty — głuchy, bo jak powiada Orzeszkowa: — najgorsze zimno w domu i w życiu!..

Gdzie jest miłość – tam najuboższa stancyjka z poddasza zmieni się w czarodziejski pałac, a lepianka nędzna, będzie najpiękniejszą komnatą, bo gdzie jest miłość, tam jest *„dom dla męża niebem, światem dla żony, portem dla synów, a szkołą dla córek.“* Wtedy też małżeństwo nie łączy tylko dłoni, ale splata uczucia, myśli — cele — wtedy każdy trud jest o połowę lżejszy, każda ofiara słodsza, cierpienie łagodniejsze i czyn każdy w plony obfitszy.

Czemuż więc niema tej miłości wszędzie, w każdym domu, przy każdem ognisku, w każdem skojarzeniu dwóch dusz i dwóch serc?

Oto właśnie dlatego, że nie każda rodzina godnie swe obowiązki pojmuje, nie każda wychowuje w cnocie i prawdzie, nie każdy dom jest tą szkołą dla córek, szkołą, która nie uczy tyle fizyki i algebry ile miłości — poznania prawd świętych — wszczepienia w serce zasad, będących podwaliną do budowy szczęścia własnego i rodziny przyszłej.

Nie każdy dom umie pogodzić i połączyć wielkie powinności z walką i mozołem życia. Nie każda rodzina umie tak myśl rozwijać i wiedzę wzbogacać, aby córki, chociaż postępowe w wiedzy, nie stały się karykaturami emancypantek napuszonych, lecz były aniołami miłości i obowiązki rodzinne — stawiały na czele obowiązków społecznych.

Nie każdy też dom, jest owym portem dla synów, który wśród burz i wichrów chroni od rozbicia, nie da unieść falom spienionym na przepaści i głębiny, który przypominać musi bezustannie, iż jakkolwiek ***„dla kobiety dom jest światem, a dla mężczyzny świat domem“*** — przecież, ani nie wolno kobiecie tonąć w życiu domowem, ani mężczyźnie tak wyrywać się z progów domowych, iżby wszystkie nici były stargane i drogi powrotu zniszczone.

Dom — stanowi o szczęściu nie tylko tych dwojga, którzy doń weszli i nowe życie poczynają, ale i o szczęściu tych, którzy kiedyś z tego domu w świat pójdą i nowe ogniska rozpalą.

To, czem dom ma ubogacić i obdarować młode pokolenie, jest świętem dziedzictwem po matce i ojcu. I jeśli dzieci nie otrzymają w domu tego skarbu, podstawy zasad — i cnót tych, które jedynie dom dać może — zostaną na zawsze — na życie całe nędzarzami najuboższymi, bo im świat i wiedza tego nie da, co jedynie może dać roztropna, kochająca matka i prawy — silny charakter ojca — czyli wzór życia rodziny chrześciańsko-narodowej.

A my — patrząc na życie ludzkie biedne, wypaczone, złamane, nie pytajmy — *dom* to, czy *nie dom,* lecz raczej wołajmy z bólem: — czy ci ludzie znali, *co życie rodzinne?...*

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ANTYSEMITYZM.

Powieść oryginalna współczesna

przez

Romana Srzeniawitę

dla „Pracy.“

(Przedruk wzbroniony.)

(Ciąg dalszy.)

Na ścianach poprzecznych sali po jednej stronie wisiał szereg wizerunków królów polskich z tej to znanej malarskiej szkoły, gdzie obraz koniecznie potrzebuje podpisu, bo niktby inaczej nie wiedział, co ma o tem sądzić. Tak naprzykład tu Bolesław Chrobry i Kazimierz Wielki byli do siebie podobni jak bliźnięta. Gdyby nie napis, któżby ich mógł odróżnić? Na stronie przeciwległej był tegoż pędzla cały szereg wizerunków cnót: mądrość, skromność, sprawiedliwość i t. p., ale biedaczki! jedna nie miała oka, drugiej przestrzelono policzek, trzeciej zęby wybito. Szlachta to dawniej, lekceważąc je sobie, strzelała do nich dla wprawy, a może też i inne osóbki, mniej wojenne, a z czasów najbardziej nowożytnych, były temu winne?

Baltazar doszedł krużgankiem do drzwi, wiodących do pokojów hrabiny — marszałek poszedł naprzód uwiadomić o jego przybyciu, on zasię, patrząc na prawo, na lewo, posuwał się powoli w komnatach.

W pierwszym pokoju, z oknami wychodzącemi na ogród oświecony chylącem się ku zachodowi słońcem, był pośrodku bilard, na którym stały zbłąkane dwie kule, a kije leżały na poprzek. — W około pokoju, na modrzewiowych, pożółkłych latami półkach, stał szereg obrazków, jak gdyby właściwie mówiąc, serya portretów z jakiegoś dworu na Wschodzie. — Nad nimi wznosił się obraz, przedstawiający w naturalnej wielkości Czerkiesa w baraniej papasze na głowie a z długą rusznicą w ręku.

Z bocznych, otwartych do salonu drzwi wyszedł marszałek, zapowiedział koledze, iż hrabina go prosi i poszedł gdzieś spiesznie. Baltazar zwrócił się ku drzwiom salonu. Troje drzwi, jedne za drugiemi, dozwalały oku przebiedz trzy obszerne komnaty, z których ostatnia wychodziła już oknami na gościniec. — W komnatach było pusto i tylko gdzieś tam z oddali dolatywały śmiechy i szczebiot kilku dziewczęcych głosików. Była to godzina wolna od nauki, w której wnuczki przybiegały do babuni na kawałek piernika lub konserwę z owocu, lub też wprost na karmelek.

Baltazar spojrzał na urządzenie salonu, który mu się wydał jakoś dziwnie znanym. Chłopakiem, tam jeszcze na Ukrainie, bywał dość często w salonie hrabiny, pamiętał go doskonale. Ten salon był inny zupełnie, a jednak zdawał się mu być tak podobnym do tego, w którym przed dwudziestu przeszło laty żegnał wraz z rodzicami hrabiostwo. Nie dziw! też same ręce go układały. Ot tam pod ścianą, wielkim dywanem okrytą, fortepian — ileż to razy on, małem chłopięciem będąc, podkradał się pod okna, by podsłuchać prześlicznej gry hrabiny? Tu bliżej pod oknami wyniosła, rozłożysta palma, a pod nią szeroki, wygodny fotel.

— Ah! to jej miejsce! — rzekł do siebie Baltazar — tu obok musi być koszyk z robotą i stoliczek mały z bukietem kwiatów — oczywiście jest!... Przed fotelem stół, na nim dziennik i książka z kościanym nożem wewnątrz — tak było i na Ukrainie. Za stołem kanapa pod ścianą, a kilka foteli półkołem przy stole — to kącik dla starszego towarzystwa! Naprzeciw w kącie kominek, ulubiona rzecz hrabiny, przed nim wielka, wygodna kanapa, za nią pod ścianą stół marmurowy z ogromnym, rzeźbionym zegarem, a w kącie, pod piecem, otoczony małemi krzesełkami stół, na którym para rozrzuconych książek, para tablic z jakiemiś pionkami, jakiemiś kostkami, coś niby szachy czy warcaby — ah! to stół dla młodzieży.

Nagle oczy Baltazara utkwiły na wiszącym obok portrecie zmarłego hrabiego. Wpatrzył się w te rysy tak mu znane, jego sercu drogie — wspomnienie lat dziecinnych zbudziło się w sercu, zaduma poczęła nim owładać. Wtem wyrwał go raptem z niej donośny głos z drugiej komnaty: „No, siostry! teraz marsz do lekcyi!“ i nim jeszcze zrozumiał, co ten rozkaz znaczył, przez salon wichrem przeleciały trzy panienki, młodziutkie, jasnowłose, różowe, a każda z karmelkiem w buzi. Nawet nie widziały, że ktoś jest w salonie... najmłodsza tylko, jeszcze dziecina, niemal na samym progu zgubiła trzewiczek; podnosząc go, spojrzała z ukosa, dostrzegła nieznajomego i w tej chwili znikła, wołając szeptem: „siostry! siostry!“ Za chwilę potem weszła do salonu ta, która komendę dała, najstarsza z sióstr, lecz równie młodziutka, w sukience, co zaledwo wlokła się po ziemi, o tyle poważniejsza, iż zauważywszy Baltazara, powitała go ukłonem, nawet powiedziała: „Babunia zaraz przyjdzie!“ ale tu śmiałość panienki już się wyczerpała, spłonęła rumieńcem, przyspieszyła kroku, przy progu skoczyła i znikła.

— Tych jeszcze na świecie nie było za owych czasów — rzekł do siebie Baltazar i zwrócił się ku drzwiom dalszej komnaty, bo właśnie w tej chwili dosłyszał szelest sukni, a we drzwiach w głębi ukazała się postać dobrze mu znana, aczkolwiek wiekiem bardzo zmieniona.

— Choć rysy odmienne, ta sama powaga, ta sama łagodność i dobroć w tej twarzy — pomyślał Baltazar, chyląc głowę do ręki staruszki i całując ją gorąco.

— Hrabina mię nie poznaje — przemówił Baltazar — a przecie ją witam, moją dobrodziejkę!

— A toż kiedy było? — spytała łagodnie — możem źle dosłyszała nazwisko.

Baltazar począł jej przypominać te wszystkie łaski, których doznali z jej ręki jego rodzice i starszy brat i on sam. Długo, długo toczyła się rozmowa, pełna drogich wspomnień, pełna życzliwości wzajemnej, w końcu hrabina rzekła:

— A teraz, mój drogi panie, powiedzże mi, prócz pamięci o nas, jaki to jeszcze interes sprowadza cię w nasz górski zakątek? Pan Bolszewski mówił, że interesant mię czeka — dodała staruszka z uśmiechem.

— Tak, pani hrabino! nie lubię żyć bezczynnie. Bóg mię oto znowu obdarzył szczęściem w rodzinnym kraju, więc dosyć włóczęgi, trzeba dla kraju pracować. Chcę tutaj w Kruchy założyć fabrykę sukna, znam się na tem doskonale. W Niemczech, po ukończeniu politechniki, byłem cztery lata w fabryce; od posługacza wyszedłem na werkmajstra, miałem własną fabrykę, jak to już wspominałem, więc wiem co i jak robić.

— Bardzo się cieszę — odrzekła hrabina — lecz czemże w tej sprawie mam pomódz?

— Oto kanał, który potrzeba przeprowadzić od rzeki do fabryki, przecina parę morgów gruntu dworskiego; przychodzę więc prosić o sprzedaż takowych.

— Z chęcią, mój drogi panie, zrobię co będę mogła, natychmiast zalecę panu Rytwianowi, by o tem pomyślał i jeśli tylko można, by to zrobił... Ten kanał będzie długi? — spytała.

— Dość długi... muszę mieć wodę na wysokość co najmniej czterech, pięciu metrów, pójdzie wzdłuż rzeki Stawy przez grunta jałowe jednego z mieszczan i te już niemal są moje.

— Ja się na tem nie znam — mówiła staruszka, lecz powiedz mi szczerze, przy tylu nakładach, czy myślisz mieć zyski?

— Nie! droga pani!... odrzekł Baltazar z pewnym wyrazem smutku na twarzy.... nie o zysk mi chodzi!

— Majątek mam znaczny, lecz, nie będąc gospodarzem, puściłem go starszemu bratu w dzierżawę, mam z czego żyć; więc kapitalik, który miałem w fabryce na Litwie, znów myślę tu włożyć na kilka lat, nawet bez procentu, na służbę krajowi. Z boleścią serca widzę, jak żydzi wyzyskują nasz lud, a on się bronić nie może, bo nie umie, bo nie pojmuje tego, co to jest spółka, bo chodzi luzem, nie jest karny... słowem nasz lud, to mętna woda, a żyd ją ciągle i ciągle mąci i coraz to droższe ryby z niej wyławia. Chłop nasz umie tylko kląć żyda i bić go w zakątku, ale walczyć z nim nie umie. Fabryka postawiona na takich zasadach — jak była

moja na Litwie, jak będzie z pomocą Boga ta druga w Kruchy, będzie szkołą dorosłych, będzie lud kształciła, bo zaprawiała go do pracy w spółce, do porządku, do karności. Żeby p. hrabina widziała tę dyscyplinę, jaką miałem w tamtej fabryce pod Kownem!.... żadne wojsko takiej nie ma. — Dużo było szemrania z początku, a teraz mię błogosławią, przy fabryce i w związku z nią stanęły sklepiki, gospody, czytelnie — spółka fabryczna chwyciła wszystko w ręce. Z tego miasteczka i czterech najbliższych wsi, wynieśli się żydzi, bo nie mieli co robić...

— Niech że cię Bóg błogosławi! mój zacny wychowańcze, że do mnie tu na sąsiada przychodzisz, i bieda tu wielka i wyzysk żydów ogromny.... Lecz muszę cię ostrzedz, byś się nie zraził... Lud tutejszy okropnie podejrzliwy, doświadczyłam tego w kilku sprawach, Bolszewski ci szczegóły opowie... Czy uwierzysz,że wszystko co robiłam, przyjmowali z niechęcią i zawsze przydłuższy czas minął, nim się przekonali o korzyści. — Więc cóż, myślisz, powiedzą, gdy im spółkę zaproponujesz?

— Wiem, wiem, co mię czeka — odrzekł Baltazar — miałem to i na Litwie, lecz dziś mi to łatwiej pójdzie, bo mię wspomogą dawni towarzysze. — Już pisałem do nich; dwóch moich najzaufańszych majstrów i do dwudziestu młodzieży czekają tylko hasła, by przyjechać do mnie, co najmniej, na cały rok.... Nie zechcą tutejsi, to ja z nimi zawiążę spółkę, co kwartał będę robił publiczne rachunki i wypłacał wspólnikom zarobek; to musi poskutkować...

— Daj Boże! daj Boże! z całego serca życzę powodzenia memu zacnemu sąsiadowi! — Rozmów się jutro z panem Rytwianem i dalej w imię Boże do pracy....

— Najdalej za rok fabryka będzie w ruchu! — odrzekł Baltazar. — Na początek urządzam tylko kilka warsztatów, a potem rok rocznie będę dodawał...

— Szczęść Boże! — bo myśl poczciwa!

— Dziękuję!...

Rozstali się jak dawni, zażyli znajomi...

W kilka dni potem Baltazar miał wszelki potrzebny mu grunt w ręku i rozpoczął piersze roboty ziemne na całej linii odrazu...

V.

Spokojni, stateczni — mówiąc językiem dyplomacyi — ultra konserwatywni obywalele Kruchy wyszli całą gromadką, stanęli szeregiem na gościńcu, zkąd widać było na drugą stronę rzeki i milcząc poczęli się przypatrywać całej gromadzie robotników, kopiących rów na przestrzeni przeszło 500 kroków.

— A co to ma być? — odezwał się jeden.

— A no! — ja nie wiem — odrzekł drugi.

— I ja też nie wiem — odrzekł jego sąsiad.... a że nikt się nie pochwalił, że wie, więc stali milcząc, bo cóż mieli mówić?

Wtem nadszedł jeszcze jeden kum i sąsiad.

— Hej kumie! a co to? — rzekło kilku do niego, wskazując robotników.

— He! a wy nie wiecie?

— Nie wiemy! — a jeśli wiesz, to powiedz.

— No! to będzie fabryka! — odrzekł z dumą człowieka, który światu obwieszcza jakąś niezwykłą wiadomość.

— He! he! he! — zaśmiał się jeden z kumów.... A co nam po fabryce? A czy to w Kruchy źle bez fabryki?

— To taki prawda — odrzekł drugi.

— A kto ją wie, co ona nam przyniesie? — dodał inny.

A tenże jegomość? — a kto on taki? a jak tu on z nami będzie żył?

— Któż go tam wie? — przybył z końca świata.

— He! wiecie kumowie! Czy on żyd, czy nie żyd?

— Nie! nie żyd! — U hrabiny bywa na górze, do stołu z nią siada — Maciej mi to mówił...

— Eh! to szkoda! boby go można wiecie po naszemu! he!...

— Bah! kiedy mi żyd!... a choćby i żyd to za rzekę — cóż mu zrobisz?

Genialny projektodawca poskrobał się w głowę, splunął i rzekł niechętnie:

— Nu to nie poradzisz — chodźmy do chałupy.

Wniosek był jednomyślnie przyjęty i wszyscy z perepatycznego posiedzenia rozeszli się każdy do swego domu... bo kiedy „nie poradzisz", to niema co radzić.

Tymczasem Baltazar nie próżnował — już kanał był wykopany i brzegi jego kamieniem okładał; dalej robił wał kamienny wysoki na kilka metrów, już fundamenta domu założył.

W konserwatywnem kole kruskich obywateli powstała panika.

W niedzielę po wotywie u kuma Ignacego Marka w traktyerni „pod gorącą kiełbasą" zebrała się znów narada.

— A cóż! — rzekł kum gospodarz. — A ten wciąż buduje i kopie, ta kopie!

— A no tak! — stwierdziło prawdę powiedzenia kilku kumów i sąsiadów i milczało bardzo rozumnie...

— No i cóż? — znów interpelował gospodarz.

— A cóż mu zrobisz? — to za rzeką — zawołał sąsiad.

— Ale co nam po fabryce? co nam po niej, kiedy nawet nie wiemy, jaka ona będzie — dodał inny.

— A tak! nikomu dotąd nic nie powiedział.

— Wiecie, co zrobić — zawołał jeden z radością Archimedesa, gdy znalazł rozwiązanie zadania — ja mam na niego sposób... a jakiem prawem on buduje na cudzym gruncie? — to wprawdzie żwirówiec, ale to zawsze grunt Kasprzyka...

— A tak! a tak! — a poco mu Kasprzyk pozwala? — wołali drudzy.

— Więc wiecie co! — kończył swą mowę projektodawca, kupmy na własność gminy ten grunt Kasprzyka i będzie po krzyku, i powiemy temu jegomościowi: „a teraz waćpan *furt* i *furt!*"...

— Dobrze mówi! dobrze mówi! — odrzekli inni — szukajcie Kasprzyka! dawajcie go tu! zaraz ukujemy interes.

Przywołano Kasprzyka.

— No kumie! do was! napijcie się! — przepił gospodarz — my do was z interesem!

— A no dobrze! — ochoczo! — odrzekł Kasprzyk.

— Sprzedajcie gminie ten grunt za rzeką.

— Pah! — odrzekł Kasprzyk. — Idźcie do tego pana geometry, co tam ciągle mierzy, taj kopie, bo ja już u notaryusza to sprzedałem!

— A do licha! — nie poradzisz! — huknął z energią kułakiem w stół gospodarz.

— Nie poradzisz! — odrzekli inni i rozeszli się z rezygnacyą i tak się skończyła druga narada ultrakonserwatystów kruskich.

Baltazar przez robotników, którym dobrze płacił a ludzko się z nimi obchodził, dowiedział się, iż jest gromadka obywateli, którzyby chcieli mu przeszkodzić i ot poprostu wysadzić, lecz miał wszystko prawnie zawarowane, więc pracował dalej tembardziej, że rządca dóbr, marszałek i wójt wioski pozielali myśl jego i zachęcali do wytrwania.

Raz właśnie stał przy murarzach, gdy przyszli go odwiedzić wszyscy trzej razem. Baltazar uskarżał się na te knowania wśród obywateli.

— Mój drogi! — przerwał marszałek — nie dziw się temu! Zarobek w fabryce to jeszcze im znana rzecz, ale mieć udział w fabryce, ta myśl to ich poprostu przestraszy, bo to dla nich tak wygląda, jak gdyby oni należeli do niej.

— Przecie fabryka do nich będzie należała; każdej wypłaty robotnik dostanie 10% mniej, aż pókąd nie złoży dziesięć akcyi po 10 guldenów. Wtedy zostanie on towarzyszem spółki z kapitałem 100 guldenów i może być wybranym do zarządu fabryki, lecz każdy, kto nawet jedną tylko akcyę posiada, ma już pobierać taki procent, jaki fabryka będzie miała.

Wójt słuchał uważnie, lecz widocznem było, iż to dla niego rzecz nowa i chociaż był to chłop mądry, to jednak zdało mu się to trochę podejrzanem.

— Jak to proszę! pan budowniczy mówią, że zapłata będzie im obciętą?...

Marszałek trącił łokciem Baltazara, jak gdyby mówiąc: — A co! czy nieprawdę mówiłem?

— Mój panie wójcie! — odrzekł uśmiechając się Baltazar — ja nie budowniczy...

— Proszę pana! tu każdy ma jakiś tytuł... to jakoś i nie mogłem tak za panie bracie do pana mówić... no! niechże będzie... do pana doktora pisma!...

I tym, nie jestem! a jeżeli koniecznie chcecie mię tytułować, toć przy wojsku miałem rangę kapitana. — Lecz wróćmy do rzeczy!... i począł znowu tłumaczyć, jak mógł najjaśniej.

Chłop miał głowę nie od parady, zrozumiał ogromną korzyść dla jego współobywateli i już nie mógł nadziękować się p. kapitanowi — zapowiedział, że on pierwszy stanie do

spółki i drugich ku temu poprowadzi. — Bo to proszę p. kapitana, ino trzeba ludziom czyście wyłożyć... p. marszałek i p. komisarz to wiedzą dobrze!...

— Uważajcież p. wójcie! — rzekł rządca — pan kapitan to wniesie na posiedzenie Rady gminy, trzeba byście radnych zyskali i to jak najwięcej.

— Będzie ich p. komisarzu uczciwa liczba... ot zaraz stary Walczewski i jego dwóch synów ślusarzy, chłopi bywali a od dziada pradziada tutejsi... jeszcze na starym cmentarzu są krzyże ich ojców, potem stolarz Bopka ten maleńki, ich szwagier, to także nasz, szewc Satucha, to mój kum, już ja mu wytłumaczę... Traktjernika Biłkę „pod zieloną szynką“ trzeba nam zwerbować! Czy nie zrobiłby tego ksiądz wikary, lub dyrektor szkoły, bo tam często razem zachodzą... tam dużo się ludu zbiera a stary Bartłomiej ma pięść nie lada i babę potrafi przegadać a przytem kłócą się z Ignacym „pod gorącą kiełbasą“ więc na złość jemu będzie nasz... i tak dalej i dalej prowadził wójt przegląd radnych i naliczył w parlamencie Kruchy około 20 członków po prawicy... Ale cóż po lewicy był nielada potentat, bo ów traktiernik Ignacy i jego kum Marek a przy nich około tuzina zwolenników.

Rządca zauważył, że oni nie są tak straszni, bo wśród tej gromadki oni tylko dwaj byli radnymi, ale wójt uderzył rękami o poły kapoty i zawołał:

— Ale panie komisarzu! ono tak rychtyk jest! ale czy to się można ustrzedz tej plewy, zaleci to wszędzie, wciśnie się wszędzie i za kołnierz i do butów i nie widzisz go a taki kole... nie rozumie jak w rogu, a krzyczy a drudzy myślą, że kiedy on wrzeszczy, to musi mądrze mówić i za nim gardłują... Nu! to i duszę wykrzyczysz a oni przecie przegadają ciebie... ot tak zakłują, jak wrony zająca.

— Jeszcze to dobrze mój Baltazarze! ozwał się marszałek, że trafiłeś na wójta, który rzecz rozumie, my tu mieli inne praktyki... Przed kilku laty nasza najzacniejsza matka darowała gminie 1000 guldenów na założenie pożyczkowej kasy. To się rozumie, że pożyczki z własności gminy nie mogą być dawane bez zezwolenia wójta i on musi być obecnym przy rozdawaniu pożyczek. Zdaje się rzecz prosta i jasna a idąca z takich rąk jak nasza p. hrabina... jak tu myśleć o jakiejś zdradzie! o zasadzce?... Przychodzi dzień pożyczki, ludzi przyszło niewiele, a co najważniejsza, niema wójta. Domyślałem się, że to musi być jakaś postronna robota, siadam na bryczkę i jadę do wójta. Skoro mię zobaczył z daleka, kładzie się pędem do łóżka, przykrywa się kołdrą, nie zdążył płachty umoczyć, więc suchą obwiązał głowę i dawaj stękać. Wchodzę do izby, wójt stęka, tak go łeb boli, że ledwo mię poznał... żona patrzy na mnie z przestrachem... Widzę doskonale, co się święci.. siadam przy wójcie i poczynam wykładać ustrój tej kasy, odpowiedzialności wójta i wszystko co należy... Wójt poczyna coraz mniej stękać, gdy skończyłem, wójt już siedział na łóżku i nie stękał i począł mi opowiadać, jak to mu tłumaczono, że on cały swój majątek i majątek tych, co wezmą pożyczkę, odda w ręce dworu... A to wszystko kłamstwo! zakończył, jedźmy! ja zdrów, ino nie chciałem tej kasy.

— I cóż! poszło potem? spytał Baltazar.

— I jak świetnie, odrzekł Bolszewski. Gmina jeszcze ze swojej strony dodała kilka tysięcy i czy uwierzysz, że w ciągu tych pięciu lat myśmy rozdali 150,000 guld. pożyczki, kilkudziesięciu ludzi wyrwaliśmy ze szpon żydowskiej lichwy... Dziś ci sami, którzy na początku intrygowali, nie wiedzą jak błogosławić hrabinie, że tę sprawę rozpoczęła.

— A cóż semici? rzekł śmiejąc się Baltazar.

— Ah! żydzi! to najkomiczniejsze! oburzają się na lichwę, jaką kasa prowadzi!...

— To znak, że ta instytucya ich podkopała, bo żyd nigdy nie będzie krzyczał na instytucyę, chociażby najgorszą, jeżeli ona jego interesów nie psuje.

— Bo trzeba ci wiedzieć, dodał marszałek, że to nietylko w Kruchy ta instytucya istnieje, jeszcze w dwóch miejscach w tutejszym skarbie hrabiny założone są takież kasy.

— Oto patrzcie! — podchwycił Baltazar widocznie rozrzewniony — znam ją od mego dzieciństwa, a już dobiegam czterdziestki — taką była zawsze — ona myśli tylko o pomocy tym, którzy ją otaczają.

VI.

Otóż na drugie lato i fabryka stanęła, już warsztaty były zamówione, pora była myśleć o robotnikach i tu poraz pierwszy spotkał się Baltazar już czynnie z opozycyą kruską.

Po zabiegach na wszystkie strony zebrał zaledwie 10 ludzi i to prawdziwy korpus inwalidów: było tam dwóch pijaków, jeden głuchy, jeden z bielmem na oku, jeden bez ręki, a jeden bez nogi — czterech tylko, zdrowych wprawdzie, ale słabeuszów. — Gdy którego silnego parobka zaczepił, ten mu odpowiadał, że się na tem nie rozumie i niech tego inni wprzód popróbują, to on się może namyśli...

— Nie wiele sobie z tego robił Baltazar, bo 20 Litwinów już było w drodze.

Tymczasem tak się zdarzyło, że jeden z domów należących do dworu został opróżniony przez niespodziewaną śmierć lokatora. Było to rzeczą niezwykle pomyślną dla Baltazara, natychmiast dom ten najął i pierwszym pociągiem pojechał do Krakowa sprowadzić swą ukochaną żonę, do której potąd tylko na święta wyjeżdżał.

Tak go ten fakt uradował, że w pośpiechu zabaczył, że lada dzień mogą nadjechać jego Litwini — zapomniał i basta i ruszył do Krakowa, nikomu żadnych zleceń nie zostawiwszy.

Właśnie w kilka godzin po jego wyjeździe, w samo południe na dworcu kolei kruskiej zaroiło się od płócianek. Spora garstka jasnowłosej młodzieży i dwóch starszych Litwinów gromadką wysiedli z wagonu, gromadką stanęli na peronie, każdy z poważnym tobołkiem na plecach, opylony na twarzy, zmęczony daleką podróżą. Oglądnęli się na prawo, na lewo, nie znaleźli tego, kogo szukali. Starsi, już dobrze biali, przewodnicy tej wyprawy, postanowili chwilę zaczekać. Minął kwadrans, może i więcej, nikt nie przyszedł. Nareszcie zapytali przechodzącego urzędnika o Baltazara. Dowiedziawszy się, że wyjechał, a niewiadomo kiedy powróci, poczęli radzić ze swoją gromadką, co począć? Uradzono zrzucić tobołki gdzieś w kącie na kupę, pozostawić jednego na straży i iść do miasta szukać jakiejś kwatery, a i przekąsić coś trochę, bo to już było z południa.

Kroczyli więc gromadką do miasta, a że restauracya „Pod gorącą kiełbasą“ była to pierwsza instytucya dobra publicznego, na jaką w Kruchy trafili, więc całą gromadką wtoczyli się do izby.

Kum Ignacy grał w karty z kumem Markiem, aż zaśmiał się z uradowania, że tyle gości dostał — jak w dzień jarmarczny!..

— Niechże będzie pochwalony! — przemówił stary Litwin, kłaniając się p. Ignacemu swą parcianą czapką.

— Na wieki! na wieki! — odrzekł pan Ignacy, a czego żądacie?

— A co macie do zjedzenia szanowny gospodarzu?...

— O mam! mam! — ta jakże! mam — jest gorąca kiełbasa, jest bryndza.

— To prosimy — odrzekli starsi — ot tak, jak jest nas dziewiętnastu, dla każdego dobrą porcyę, bośmy od wczorajszego wieczora nic uczciwego w ustach nie mieli!

— Siadajcież! siadajcież! — zapraszał gospodarz — hej tu! Basiu! dziewiętnaście kiełbas, a żywo! — zawołał do dziewczyny — a tymczasem — dodał, zwracając się do gości — napijemy się przed kiełbasą po kieliszku!... Co? — Podał kieliszek najstarszemu, ten przyjął, wypił, podziękował a, zwracając się do kuma Marka rzekł:

— My tam u nas nie pijemy, ale po drodze, po dzisiejszej zimnej nocy i głodzie, to już Pan Bóg przebaczy.

— A toście nie tutejsi krajanie — odrzekł kum Marek, który czekał przy kartach, pokąd się kum Ignacy nie sprawi.

— Oh! myśmy z daleka! aż z Litwy — odpowiedział stary...

— Ho! ho! ho! aż z Litwy! a gdzież to Pan Bóg prowadzi? — spytał znów kum Marek.

— A do Kruchy! na robotę!

— Na jaką robotę? — zapytał już podejrzliwie kum Marek.

— A do fabryki...

— Do jakiej fabryki? — zawołali naraz oba kumowie.

— A do pana Bonińskiego.

— Co!... — huknął kum Ignacy, który właśnie skończył poczęstunek i już uważał na ostatnie słowa rozmowy, podskoczył ku izbie gdzie była kuchnia i, o ile ochrypły organ jego na to pozwalał, zawołał z cicha:

— Baśka, nie smaż kiełbasy! Wróciwszy zasię do izby — przekrzywił swoją opasłą twarz, co miało znaczyć, iż poczyna być dowcipny, a złośliwym i chrapliwo-żałosnym głosem począł mówić:

— Darujcie! nie wiedziałem, ale kiełbasa zepsuła się na nic, nie mogę jej dać...

Litwini spojrzeli po sobie — co to ma znaczyć?

— Mówiliście gospodarzu — przemówił jeden ze starych — że macie bryndzę; dajcie nam bryndzy i chleba.

— O też to! — dodał pan Ignacy z jeszcze bardziej dowcipnym wyrazem twarzy. — Moja żona poszła do kościoła i zabrała klucze.

— Ależ kościół tu niedaleko, możeby posłać.

Kum Ignacy czuł, iż rozpoczyna się dyskusya, w której zostanie pobity — postanowił do niej nie dopuścić, stawiając nadzwyczaj zrozumiałe ultimatum.

— Ano! kiedy powiadam, — rzekł stanowczym i donośnym głosem — że nie mam, ani kiełbasy, ani bryndzy, ani chleba, to znaczy, że... — i zawahał się przed stanowczem wymówieniem słowa — to znaczy, że niemam i koniec.

Litwini popatrzeli na siebie, tak im już pachniała gorąca kiełbasa, a tu trzeba było z niczem się wynosić.

— Kiedy tak, to nie mamy na co czekać — odrzekł stary z rezygnacyą.

— A nie! nie! nie!... Jak Boga kocham! — powtarzał gospodarz, kręcąc się koło stołu zgłodniałych.

— Pozostaje nam tylko za wódkę zapłacić!

Kum Ignacy stanął jak wodą oblany. On nie miał prawa na szynkowanie trunków. Zwykle zapraszał tylko gości, by się z nim napili, a przy rachunku za kiełbasę, czy bryndzę, zwykle dodawał półgłosem: „no! i pięć krajcarków“... i takim genialnym sposobem omijał prawo.

Był on raz w życiu w Krakowie i tem się ciągle chwalił, a za każdym razem opowiadał, że widział kelnera, który częstował gości z własnego pularesu, bo nie miał prawa na publiczne sprzedawanie tytoniu.

— I cóż! — zwykle tak kończył opowiadanie — „zielone finansy“*) nie mogli mu nic zrobić! a ja, panie mój! mając głowę na karku, powiedziałem sobie: to można jeszcze do czego innego zastosować!... — i tu poczynał zwykle palcami bębnić po stole, kiwając swą tłustą twarzą na prawo i lewo, z tajemniczem przykrzywianiem ust i przymróżaniem oczu.

Ale teraz kwestya stała inaczej; nie było do czego doliczyć tej wódki. Stary Litwin i kum Ignacy patrzyli ku sobie, milcząc. Tamten czekał na odpowiedź, a ten nie widział drogi wyjścia.

Kum Marek wyratował go z kłopotu.

— O nie! — zawołał — to był tylko poczęstunek przyjacielski... podróżnych z daleka... ot tak! za darmo!...

Litwini znów spojrzeli to na siebie, to na Ignacego, który zacierał ręce, coś chciał mówić, ale mu się jakoś wyrwać z gardła nie mogło; nareszcie przebąknął:

— O tak! o tak!... po przyjacielsku! to darmo!

Litwini nic nie rozumieli. Spojrzeli po sobie, ale nie było co robić, podziękowali i wyszli od przyjaciół, którzy im dali wódkę przed jedzeniem, ale jedzenia nie dali.

— Dziewiętnaście wódek! — zawołał po ich odejściu patetycznie kum Ignacy — Patrzaj, butelka próżna.

— No trudno! — odrzekł kum Marek — trzeba dla sprawy coś poświęcić... aleś za to nie dał się... nie nakarmiłeś fabrykantów nieproszonych.

— Ano! ano! — odrzekł Ignacy nadrabiając miną i starając się zagłuszyć w sobie wyrzut sumienia, że dał się tak złapać. — Dziewiętnaście wódek darmo!... — szeptało mu sumienie, więc znowu krzyczał: — Kiedy zmowa to zmowa!... Nie dam kiełbasy! — A co oni teraz będą robili? — dodał, śmiejąc się głupkowato i poszedł do okna, by choć widokiem zakłopotania zgłodniałych zapłacić sobie za wódkę.

Patrzaj kumie! patrzaj! skrobią się w głowę... aha! a dobra gorąca kiełbasa ta jeszcze i z bryndzą szydził kum Ignacy, i naraz grzmotnął kułakiem w ramy okna, wołając:

— A żebyś pękł!...

— Co takiego kumie? zawoł Marek.

— Ano patrz! „zielona szynka“ zabrał ich do siebie widzisz jak biegną za nim i jeszcze oglądają się i śmieją się ze mnie... a niech cię licho porwie! dziewietnaście wódek! wyszeptał z rozpaczą.

*) Tak lud w Galicyi nazywa strażników cłowych, noszących zielony mundur.

Kum Marek począł pocieszać kuma Ignacego, by się nie trapił, tembardziej, że zbliżała się sprawa daleko ważniejsza, przedstawienie sprawy udziału w fabryce na Radzie Gminnej. Trzeba było o niej pomyśleć i ją obrobić.

Rozpoczęli więc ową dyskusyę z dziedziny wiejskiej dyplomacyi. Kum Ignacy wpadł w taki entuzyazm wojowniczy, że co chwilę powtarzał:

He! he! co nam po fabryce! nie dopuszczę, nie zezwolę!... ja ich nauczę darmo pić wódkę!... ja im zagrzeję kiełbasę...

Tymczasem Litwini, dzięki współzawodnictwu „gorącej kiełbasy“ z „zieloną szynką“ znaleźli w tej gospodzie i jedzenie i izbę na nocleg, gdzie nietylko słomy nasłano, ale były tam nawet dwie ławy dla starszych.

Zdarzyło się jakieś święto. Litwa, jak żyła razem, tak też i gromadką ze starszyzną na czele weszła do kościoła i klękła razem i modliła się gorąco i biła czołem o ziemię za każdym dzwonkiem. Przeszedł chłopak z torebką, każdy rzucił jakiś grosz do niej, a gdy wyszła kwesta ze świecą, wołając: „na budowę nowego kościoła,“ to jak odliczył 20 srebrniaków legło na tacy.

— Na organach zagrano: „Święty Boże, Święty Mocny.“ Litwa złożyła książki i z całej piersi zaczęła śpiewać. Było to wielce budującem dla ludu. Nawet uważano, że ksiądz proboszcz, gdy odwrócił się powiedzieć *Dominus Vobiscum*, to tak długo stał odwrócony, jak przy *Orate fratres* i z wielką radością patrzył na Litwę.

— Hej! muszą to być zacni ludzie, kiedy tacy bogobojni! — powiadali sobie obywatele Kruszy — a to przecie o nich gadano, że to dzicz jakaś, ot niby niedźwiedzie. No, proszę! Toć siedzi ich pod „Zieloną szynką“ dwudziestu razem, przecie to gromada, a jakby nikogo nie było; najczęściej widzi się ich zebranych około stołu, a jeden ze starszych im coś czyta.

I tak minęło blizko tygodnia, Baltazar nie wracał, a Litwa siedziała pod „Zieloną szynką.“ Rano spożywali jakąś przekąskę, potem obiad i kolacyę, zapijali to herbatą, a najstarszy z nich za każdym razem płacił za wszystkich dwudziestu rzetelnie. Kum Ignacy aż schudł, tak się tem strasznie nazłościł, a wciąż powtarzał: „dziewiętnaście wódek“ i zaraz dodawał, tłukąc kułakiem w stół: „A niech mię szlag trafi! nie dopuszczę!

Nadjechał Baltazar, a dowiedziawszy się, że Litwini przybyli, pobiegł czemprędzej do gospody. Sąsiedzi aż się zdumieli.

W cichej gromadce naraz zachucało jak w ulu. Wszystko to wybiegło przed bramę, dalej wołać: „drogi nasz pan! nasz dobrodziej!“ i nuże go ściskać, do kolan się skłaniać, a i on, no proszę! przecie pan, a starych objął w ramiona, pocałował, młodszym rękę uścisnął, dorostkom czuprynę na głowie zwichrzył, a śmiechu tam, a radości! to ono tak, jak gdyby brat zobaczył się z bratem.

— Ej! powiadali Kruszanie — i ludzie poczciwi i ich pan również poczciwy!

VII.

Przyszedł nareszcie długo oczekiwany a ze wszystkich stron przygotowany dzień, na którym miała być wniesioną sprawa udziału gminy w fabryce.

— Rządzca, marszałek dworu, ks. proboszcz, wójt, pracowali o ile mogli, by zyskać zwolenników dla myśli Baltazara niezrównanie korzystnej dla gminy i okolicy, czuli jednakże, że wynik narady jest bardzo wątpliwy...

O drugiej z południa do izby urzędowej gminy, wszedł wójt z pisarzem, wkrótce tam znaleźli się niemal wszyscy zwolennicy Baltazara. Ostatni, poważnym krokiem weszli kumowie Ignacy i Marek i siedli za stołem od pieca. Tam były drzwi od drugiej izby. — Wkrótce potem, to wchodowymi, to znów owymi od sąsiedniej izby, poczęli się chyłkiem wsuwać zwolennicy kumów nienależący do Rady. Przed chwilą wszyscy oni byli zebrani w alkierzu u Marka, gdzie się umówili z obu kumami a radnymi, że wcisną się za piec lub siędą pod piecem, byle im potakiwać...

— Bo choć wy nie jesteście radni — tłumaczył im kum Marek — i nie możecie głosować, toć przecie nikt nie potrafi zamknąć wam gęby.. a czasem jedno głośne słówko dobrze usłuży.

Wójt i inni radni widzieli doskonale, że się zbiera opozycya — ten fortel wojenny nie był już nowy, ale wedle par-

lamentarnych zwyczajów w Kruchy, wójt wobec niego był bezsilnym.

Baltazara jeszcze nie było. Czekał w gospodzie, by go zawołano, gdy przyjdzie czas. Przybył w towarzystwie swoich starych Litwinów.

— Niechże będzie pochwalony! — rzekli Litwini wchodząc i kłaniając się wokoło wszystkim, a potem do tego i do innego, bliżej już sobie znajomych, zwracali się jeszcze odrębnie z pokłonem i życzliwem słowem Z kolei i do kumów Ignacego i Marka rzucili słowo pozdrowienia... Ci zaś nie odpowiedzieli nawet skinieniem głowy.

Im to pozdrowienie zdawało się docinkiem... I mieli zupełną słuszność. Nic bardziej człowiekowi nie dopieka nad wypłatę mu ludzkością za jego nieludzkość.

Kum Ignacy zacisnął pięści, w oczach mu stanęła cyfra 19, rącił łokciem kuma Marka, a ten wielce politycznie ruszyłtylko wąsem i nic nie powiedział. Litwini także, milcząc, spojzeli po sobie i zaproszeni przez wójta, zajęli miejsce przyotowane dla nich i Baltazara.

Zaczęło się posiedzenie. Wójt pełen namaszczenia powstał wypowiedział w kilku słowach, że oto pan kapitan proponuje, by Opuśna wzięła akcye fabryki którą on zakłada....

— On sam najlepiej to panom wytłumaczy — zakończył wójt — prosimy pana kapitana, by nam to przedstawił...

Baltazar począł wykładać swoją teoryę i swój plan. Okazało się jednak, iż pomimo swej praktyki życiowej, nie był doświadczony w prowadzeniu takich spraw.

Jak zwykle bywa u ludzi zacnego charakteru, on tego zrozumieć nie mógł, żeby dobra, a prosta sprawa była dla kogoś niejasną, a co więcej podejrzaną. Przy nim siedzieli przecie świadkowie jego pracy na Litwie, świadkowie tego, że sprawa, którą przekładał była i czystą i możliwą... szlachetny entuzyasta nie odczuwał, że mogą być podsunięte wątpliwości nie tylko co do sprawy, ale nawet co do samej jego osoby. Opowiadał więc, jak fabrykę swoją, chcąc ją sprzedać, a widząc, że żydzi na nią czychają, wydzierżawił robotnikom, a gdy widział następnie jak się oni wzięli do roboty i oszczędności, jak się grosik uciułał, gdy mu sprzedać zaproponowano; naówczas żałował, że parę lat stracił, że od początku nie zrobił ich współwłaścicielami...

— Ostatecznie — tak kończył — chociaż parę lat później stało się to, co z całą radością serca powitałem... moim kapitałem założona fabryka przeszła na własność robotników... A jak dalej poszło niech oni sami powiadają!...

Wstał jeden z Litwinów, wyniosłej postaci, poważny, z głową już bieluteńką i począł opowiadać, jakto oni oszczędzają, by za 10 lat mieć już fabrykę wolną od bankowego długu; jak to oni okolicę związali z fabryką, że aż żydzi wynieśli się, bo nie mieli co robić; jak w ich pięciu gminach nawet podrostki składają grosz do grosza, by wejść do „Gromady robotniczej“, bo już wtedy na całe życie jest ubezpieczonym na wypadek jakiej niedoli...

— A wszystko to — kończył starzec — zawdzięczamy oto temu drogiemu nam panu! W obec Boga i całego świata świadczymy mu, iż on jest dobrodziejem naszej całej okolicy i niech mu Zbawiciel nasz i Matka Jego Najświętsza tyle łask zeszle, ile on szczęścia przysporzył i nam i dzieciom i wnukom naszym!

I powstali obaj starcy i w obec wszystkich ściskali Baltazara i całowali go w ramiona.

Scena ta poruszyła wszystkich.

Oto prawdziwy dobrodziej! takich nam trzeba jak najwięcej! słychać było głosy w około; zdawało się że Baltazar wygrał sprawę najzupełniej.

Kum Ignacy potrącił kuma Marka.

— Jeno słuchajmy! niechaj mówią! niechaj! potem my będziemy mówili.

— Kum Marek potwierdził tylko mrugnięciem wąsa i znów rozparci łokciami na stole siedzieli i milczeli.

Zachęcony przychylnemi głosami wśród zgromadzenia powstał Baltazar i tak mówił:

— Tak więc p. wójcie i panowie radni! zaproponowałem, by gmina brała akcye tej fabryki, którą zakładam, każdego roku pewną ilość, a w miarę tego ja będę usuwał mój kapitał. Stosownie do tego, jak gmina te akcye będzie brała, prędzej lub później, ale niechybnie fabryka przejdzie na własność gminy. Zawsze to sprawa kilku lat, tymczasem możecie własne dzieci stosownie do tego kształcić; jednego na rachmistrza, drugiego sekretarza, trzeciego na maszynistę i t. p. ot jak oni zrobili, dodał wskazując na Litwinów, dziś już mają w zarządzie zaledwo dwóch czy trzech ludzi obcych, a inni to wszystko ich chłopcy wyćwiczeni po różnych szkołach... Oto jest ten projekt, który polecam waszej uwadze. Nie mam w tem żadnego własnego interesu. Możecie się łatwo dowiedzieć o tem, że jestem człowiekiem bogatym i mógłbym tak żyć z założonemi rękami jak tyle innych żyje, lecz ja tak nie mogę. Znam się na farykach, krajowi naszemu ich potrzeba, one dają zarobek ludowi, więc powiedziałem sobie, będę zakładał fabryki po kraju a zawsze tak, by po pewnych latach ta fabryka stała się własnością miejscowej gminy a ja pójdę dalej zakładać nowe dla innej okolicy.

Baltazar nie był mówcą, ale mówił o rzeczy, która mu na sercu leżała, która lud jego kraju podnosiła, kształciła, więc słowa jego drgały ciepłem, siłą — było widocznem, że przenikają do myśli i serca słuchaczy, a w oczach ich, w urywanych słowach, które od czasu do czasu dolatywały jego uszu widział i odczuwał ich uznanie, zgodę i poparcie.

Gdy skończył zabrali z kolei głos rządzca, marszałek, ks. proboszcz, miejscowy lekarz, wójt, kilku radnych, wszyscy uznając wniosek Baltazara i radząc, by gmina go przyjęła...

Ostatecznie wójt uznał za stósowne zapytać zebranych, czy ma przystąpić do głosowania.

— Ino jeszcze nie! — ozwał się z pod pieca chropawy głos p. Ignacego. — Wyście oto gadali, to ja słuchał, a teraz ja chce gadać...

— Sprawiedliwie! sprawiedliwie! — ozwały się głosy przy piecu.

— Jeśli pan radny chce mówić, toć mają wolę — my będziem słuchali — odrzekł wójt...

— Otóż panowie radni! — ozwał się p. Ignacy powoli, z naciskiem — pan kapitan nam opowiadał, że był w Niemczech, a potem na Litwie, taj nawet tamecznych ludzi na pokaz i na naukę nam sprowadził.... otóż mnie się zdaje, że z rozumem niemieckim ta litewskim trzeba było w Niemczech ta na Litwie pozostać, bo my Kruszanie mamy nasz własny rozum kruski.... a tak! wykrzyknął z zapałem, a wtórzyło mu kilka głosów z pod pieca... My Kruszanie — mówił dalej — nie damy się wywieść w pole... a pan wójt zamiast bronić zaprzedaje gminę! — Ot co!... A co nam po fabryce, której my nie rozumiemy? A czy to Krucha nie stała od wiek wieków bez fabryki?... Czy jej bez tego źle?... A co to są te pakcye — jakie to licho? — Człek tego słowa nie słyszał — pan kapitan myślał, że my się złapiemy na zamorskie słówko, którego nie rozumiemy!... Oho! w Kruchy nie ma głupich!...

— Tak! tak! znów ozwały się głosy z pod pieca.

— Ależ moi panowie! — zawołał Baltazar — darujcie, jeżeli użyłem słowa trochę nie zrozumiałego. Akcya to to samo, co udział w tym kapitale, jaki jest włożony w jakąś sprawę...

— Aha! tak? — odrzekł Ignacy — a czemu to pan pierwej tak niepowiedział?... Oho! kto ma sprawiedliwe chęci, ten odrazu jasno mówi... Oh nie! nie chcemy żadnych akcyi! niech młode wróble dziobią te plewy... a my są tutejsi, Kruszanie!...

— Oto to! Oto to! — zawołało kilka głosów z pod pieca...

Wójt powstał, a tracąc już trochę równowagę, rzekł energicznym tonem:

— Ja proszę panów radnych, by tylko oni tu krzyczeli, a inni nie są ku temu.

— He! panie wójcie! — odezwał się jeden z pod pieca, w kościele także nie wolno wrzeszczeć, a przecie, gdy wam kto na odciski nastąpi, to krzykniecie... Otóż ta fabryka trafiła u nas na odciski...

Kum Ignacy uciszył swego stronnika i dalej mówił:

— Pan kapitan mówi nam o dobrodziejstwach — a kto pana o nie prosi?... he!...

Z pod pieca odezwał się śmiech, a pan Ignacy dalej ciągnął:

— Litwini opowiadali cuda o tej tam gdzieś fabryce, ino trzeba wiedzieć, gdzie ona jest... Opowiadają cuda to nie dziwota! — Czyim kosztem przyjechali? — kapitana, a gdzie są? — w barakach kapitana, a jego też kosztem przeszło tydzień tam „pod zieloną szynką“ jedli, ta zapijali wódką i piwem...

— Łżesz! — huknął na całe gardło radny Biłka, restaurator z „pod zielonej szynki“ — to u ciebie pili wódkę!...

Gwar powstał... Pan Ignacy posiniał ze złości i strachu, zaniemiał i tak siadł na ławie, że aż chrzęsło

pod nim... „a nuż *financwachy* to posłyszą!“ pomyślał sobie, kum Marek wyratował go.

— A tak! pili, zawołał, ale to był poczęstunek podróżnych, ot tak z dobrego serca! pieniędzy za to nie wziął, ja byłem przy tem i niech panowie Litwini zaświadczą.

— Rzeczywiście, — odrzekł jeden ze starych, — nie zapłaciliśmy, a było wypitych dziewiętnaście kieliszków!

Kum Ignacy jeszcze milczał i tylko sapał, nie mogąc opanować siebie. Miotały nim zupełnie różne uczucia, bo i strach *financwachów* i radość, że wybrnął z toni i złość na darowane „19 kieliszków wódki“ i żal zarobku tygodniowego na głodzie dwudziestu ludzi.

Wójt, sądząc z milczenia p. Ignacego, iż skończył swą przemowę, zawołał:

— Proszę panów nie krzyczyć! i teraz kiedy wszyscy skończyli mowić, toć głosujemy...

— A ino ja jeszcze nie skończył! rzekł p. Ignacy, podnosząc się z ławy, sapiąc jeszcze trochę i ocierając pot z czoła. Nie czekał, czy mu wójt głosu udzieli i począł mówić:

— Pan kapitan obiecuje srebro taj złoto... Ho! ho! Panie! Nie pan tu pierwszy do nas z tem przyszedł! Cóż panie wójcie! czyście zapomnieli jak tu przyjechali z tego „Banku ubogich“... A czy nie obiecywali, że każdy chłop będzie panem? A później co? Na dziadów wyszli głupcy, co się na plewę złapali, krzyknął bijąc kułakiem w stół.

— Dobrzeż kumie powiedział, huknął Marek również dodając akcentu kułakiem.

— Ano! Ano! czy nie prawda? wołano z pod pieca... Ale i wśród innych ozwały się także głosy... Oj tak, Oj tak!

— Teraz rządcy, proboszczowi i innym z tegoż koła, ścisnęło się serce; znali doskonale podejrzliwość ludu Kruchy i okolicy, wiedzieli więc, ze argument użyty przez Ignacego, zabił kompletnie sprawę. Rządca pochylił się do Baltazara i szepnął mu „wszystko stracone“... Baltazar już się domyślał tego, bo jeszcze nie zeznawał. Ohydna sprawa „Banku ubogich“ nie była mu dobrze znaną, bo wówczas nie był w kraju, nie rozumiał więc potęgi użytego argumentu.

Jak na nieszczęście w tejże chwili przez otwarte drzwi izby doleciał z ulicy okrzyk jakimś nieludzkim głosem...

— A wciurnaście! — tra la! la!... hiu!... a gwizd przeraźliwy aż echem się odbił w ulicy.

Poprzed okna izby toczył na taczkach beczkę, dobrze podpity Maciek od Aarona... bosy, w podartej odzieży, z rozczochraną głową, prawdziwy zwierz w ludzkiej postaci...

— A ono macie go tutaj! huknął Ignacy, wskazując na pijanego. — A widzita go! miał grunt i chałupę to był nieszczęśliwy, a „Bank ubogich“ zrobił go szczęśliwym...

Szmer w izbie powstał wielki, liczne: „tak! tak!“ „a ino!“ powtarzały się zewsząd...

Pan Ignacy wpadł w oratorski entuzyazm i krzyczał:

A co nam po dobrodziejach! — damy sobie i tak radę... nie miała Krucha rzezalni, a przecie ma — nie miała szkoły, a przecie ma i to piętrową — walił się kościół, budujemy nowy...

Jak gdyby go wąż ukąsił, tak porwał się z miejsca rządca.

— A już mi dosyć tej bezczelności! — zawołał. — Kto zbudował rzezalnię? Hrabia. — Kto gminie na szkołę pieniędzy pożyczył? Hrabina. — Coście na kościół dotąd złożyli?... figę malowaną... a co przyszło z gminy, to grosz ubogich, albo ich praca, a od bogatych nie... taki pyskacz ma trzy domy, a grosza nie dał na kościół i jeszcze pysknje bezczelny.

Ignacy otworzył gębę, jak gdyby go kropnął kto po niej, a jeden z pod pieca krzyknął:

— A onoć hrabstwo to nie Kruszanie? Czy co?...

Gwar nie do opisania powstał w parlamencie Kruchy — i prawica i lewica krzyczały też same słowa: „tak! tak! prawdę mówił“ zdawało się, iż panuje zupełna entuzyastyczna zgoda, a tymczasem szalała to burza, tak silna, że nawet sam prezydent był nią pochwycony i wraz z drugimi krzyczał i bił pięściami o stół...

Ponad wszystkie głosy przedarł się chrypliwy głos kuma Ignacego, który nareszcie mowę odzyskał...

— Ja pana kenwisarza zaskarżę za obrazę honoru...

— A ja ci przed sądem to samo powiem, bo jesteś takiż tu w gminie, jak u siebie w domu.... poczęstujesz kieliszkiem wódki, a za dwa rachujesz...

W izbie powstał śmiech, bo to był znany fakt, dlaczego też szlachetny instytut p. Ignacego nie był nader uczęszczany... Ignacy struchlał, siadł na ławie i zamilkł. Wraz z tem zaczęła burza ucichać...

Wójt ochłonąwszy znów przyszedł do urzędowania i zawołał donośnym głosem:

Kiedy ono wszyscy już wyrozumieli czyście o co się rozchodzi, to możemy teraz głosować.

Niestety to właśnie było już rzeczą niemożebną. Wymowa Ignacego podziałała tak, że stało się to, co w Kruchy zwykle przy drażliwych sprawach się działo, to jest, że ci, od których zależało rozwiązanie sprawy, w stanowczej chwili „tracili się“, to znaczy szli spać na strych, albo do wiklin nad rzeką; albo co najmniej bywało, albo co najczęściej bywało, szli do karczmy zwanej „Lipie“ o kilomer drogi na owej pięknej alei, którąśmy poznali na początku naszej powieści. Tak się i teraz stało. W czasie, gdy szumiała burza, jedni radni głównemi, dródzy drzwiami do alkierza „wzięli, taj stracili się“ a gdy burza ucichła, i wójt chciał rozpocząć głosowanie, okazało się, iż Rada nie jest w komplecie, trzeba się było rozejść.

— Oto tak panie kapitanie, z naszymi Krurzanami, zawołał wójt, i święty straci cierpliwość, bo przecież go warchoł zapytuje no! po krzyku...

Smutni, przygnębieni porażką tak bolesną wyszli Baltazar i jego przyjaciele z urzędu gminnego. Rządca i Baltazar poszli razem.

— Powiedz mi pan! rzekł Baltazar, co się to stało? w słowach tego brzuchacza był jakiś czar, że on mi tak w jednej chwili podkoził nogi.

— Mój panie kochany! odrzekł rządca — ten „Bank ubogich“ to straszna plama w ostatnich dziejach naszego tu kraju. Młodym chłopcem byłeś pan na Ukrainie, potem wkrótce pojechałeś do Niemiec, na Litwę, do Hercogowiny... słowem nie znasz pan tego kraju dokładnie i może nie dużo pan słyszałeś o tym banku, który właśnie powstał i pękł w owych latach, pozostawiając po sobie tysiące nieszczęśliwych wieśniaków, to był poprostu cywilizowany rozbój biedactwa.

— Czy tak był nieumiejętnie prowadzony? zapytał Baltazar.

— Oczywiście, odrzekł rządca.

— Lecz dlaczego?

— Powiedziałem, że pan nie znasz naszego kraju, a bez tej znajomości i tego faktu nie pojmiesz.

Może nigdzie na całym świecie, tytuły księcia, hrabiego, a chociażby tylko barona, nie mają tyle znaczenia, ile w tej zachodniej części naszego kraju. Powstaje jakaś instytucya, to wnet się oglądają, by jakiegoś księcia lub hrabiego obrać na prezesa, w razie bowiem przeciwnym, wszyscy tytułowani i połowa szlachty bez tytułów nie przyłożą palca do tej lub owej sprawy, a jest ich tu siła i trzeba się z nimi liczyć.

Nicby w tem zresztą złego nie było, gdyby nawet wszystkie naczelne miejsca w kraju były zajęte przez tytułowych, ale nieszczęście tkwi w tem, że wśród nich jeden na stu jest wykształcony fachowo.

Na czele banku staje książe lub hrabia, który najgłówniejszych zasad tej instytucyi nie zna. Oczywiście nie on kieruje bankiem, ale ten, który nad nim zapanuje. Zrozumiesz pan jakież to jest znakomite pole dla ludzi nieuczciwych. Cóż mu na tej instytucyi w Kruchy, on stoi za plecyma pana hrabiego. Przepatrz pan skład naszych rozmaitych instytucyi. Ludzie osiwiali w zawodowej pracy stoją na drugorzędnych miejscach, a pierwszorzędne zajmują ludzie często bez pojęcia o rzeczy, lecz... krewni lub bliscy znajomi pana hrabiego prezesa... By otrzymać takie miejsce trzeba być przedewszystkiem „człowiekiem z towarzystwa“ a reszta będzie mu dodana w formie *sekretarza.*

— Więc tego rodzaju był skład owego Banku? zapytał Baltazar.

— Oczywiście! prowadził rzecz swoją dalej rządca. Ludzie, którzy z ludem może słowa w życiu po ludzku nie przemówili, ułożyli statut dla ludowej instytucyi... uznali za stosowne dawać ludowi na grunt i chałupę pożyczki dość znaczne z całą ową zawikłaną procedurą wekslów, procentów, rat, terminów i t. p.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jajko wielkanocne.

I.

Konrad powrócił do domu wcześniej, aniżeli zazwyczaj. O samej czwartej... On, który wprawiał w istną rozpacz żonę i domowników chroniczną niepunktualnością.

— Dobry znak — pomyślała pani Konradowa, a w niebieskich jej oczach zamigotał blask wielkiej radości.

Na pamięć przyszły chwile minionego szczęścia dawnej serdeczności, chwile, które teraz może wraz z uroczystym nastrojem Wielkiego Tygodnia powrócą do stópek jej, sprowadzając skruszonego grzesznika.

— Spożyjemy obiad wcześniej — rzekła, tuląc sią pieszczotliwie do małżonka — a potem wybierzemy się na miasto po sprawunki świąteczne. Czy wiesz? Kazio upatrzył sobie prześliczne jajko czekoladowe w jednej z cukierni i marzy o zaprowadzeniu do niej tatusia..

Konrad przerwał żonie z widocznem zakłopotaniem:

— Bo widzisz — rzekł spuszczając oczy — ja właśnie przyszedłem się przebrać... bo zmuszony jestem obiadować znowu w restauracyi...

— Ah, tak?

— Wcale mi to nie na rękę. Ale widzisz, zaprosił mnie redaktor „Przeglądu starego", wydaje bibkę dla współpracowników, która przeciągnie się zapewnie dość długo. Pojmujesz, że wyróżniać się nie mogę...

Spojrzał ukradkiem na żonę, pragnąc się przekonać, jakie wrażenie wywoła jego zapowiedź.

Milczała.

— Tak, tak... Wykrzywiaj się teraz — podchwycił tonem zaczepnym. — Doprawdy, te kobiety są paradne!... Masz męża, który zapracowuje się dla zapewnienia ci wygód — a nawet zbytku. Nie czynię ci z tego wymówek. — Ale kiedy dla podtrzymania stosunków zmuszonym zostaję do koleżeńskiej uczty, która, nawiasem mówiąc, nie sprawia mi przyjemności, pani żona przyjmuje to niby jaką zbrodnię.

Mówił głosem podniesionym, upajając się własnemi argumentami, w które niemal wierzył.

— Zbrodnia? — podchwyciła pani Konradowa. — Ależ ja nie wyrzekłam ani słówka...

— Ale twoja mina grobowa powiedziała mi więcej od najsroższych wymówek.

— Przyznaję, że powtarzające sie niemal co dnia owe bibki, sprawiają mi wielką przykrość.

— Bardziej cię złoszczą, aniżeli martwią. Ale niech i tak będzie... Zaniedbam interesy, stosunki, jeśli ci to przyjemność sprawia...

— Interesy! Stosunki!

Dowiedziała się od niedawna, co się ukrywa pod tym pozorem! Usłużni przyjaciele objaśnili ją aż nazbyt dokładnie, nie szczędząc szczegółów objaśniających codzienne schadzki z p. Różą, artystką przyjezdnej trupy szansonistek.

Zresztą to było zbyteczne. Czy kobieta nie domyśli się, nie odczuje...

Nić niepochwytna, a tak silnie łącząca serca ich do niedawna, zerwała się... może z jej winy... Nadto pewna swego szczęścia, nie umiała go podtrzymywać dyplomacyą, kokieteryą, codzienną walką z otaczającemi dziennikarza pokusami.

A teraz pozostawała jedyna deska ratunku — Kazio — do którego ojciec zdawał się być tkliwie przywiązanym.

Dziś jednak odwołanie się nawet do prośby jedynaka, okazało się bezskutecznem.

Widocznie wszystko było stracone, bezpowrotnie...

II.

Konrad, unikając dalszej polemiki, ubierał się szybko. W przedpokoju dopędził go synek czteroletni w podskokach i z figlarną minką.

— I ja idę... I ja idę... Po moje jajko.

— Dziś niepodobna, moje dziecko.

— Tatusiu... Chodźmy zaraz... bo kto inny kupi moje jajko... takie śliczne... Ja chcę zaraz...

— Mówiłem już, że nie mogę.

— Tatusiu, ja chcę zaraz... ja chcę zaraz.

I uczepił się paltota, tonem płaczliwym wołając:

— Zaraz... zaraz.

— Cicho bądź, niegrzeczny mazgaju — wołał rozgniewany natarczywością malca i posądzając żonę o nasłanie mu nowej egzekucyi, odepchnął Kazia ze słowami:

— Idź do mat...

* * *

Słowa te przerwał jęk dziecka padającego na podłogę... Na skutek niespodziewanego ruchu ojca Kazio stracił równowagę i uderzając główką o drzwi, obsunął się na ziemię...

— Wody! wody...

W mgnieniu oka zemdlona dziecina znalazła się na kanapie. Obok niego krzątali się zrozpaczeni rodzice, rozgorączkowani jednym rozdzierającym serca niepokojem.

— Może doktora? — pytał śmiertelne przerażony Konrad.

— Nie. Teraz wody, wody...

I matka obmywając starannie skronie, szukała śladów uderzenia, przykładała do zaciśniętych usteczek szklankę wody, skrapiała twarzyczkę zimnym płynem...

Przez kilka chwilek dziecina nie otwierała oczu...

Konradowi czas ten wydał się nieskończonym.

Wstyd i ból paliły mu skronie.

Teraz dopiero odczuwał marność swoich słabostek, wartość skarbu, którego nie umiał oceniać... Ta dziecina, ta część życia jego najdroższa, najszlachetniejsza nie zdołała mu do niedawna zapełnić egzystencyi, a teraz czuł, że odda wszystką krew swoją aż do ostatniej kropelki, dla ujrzenia słodkiego uśmiechu, który go drażnił przed chwilą.

— Boże! Boże! Spraw, aby ten aniołek wyszedł bez szwanku z tego wypadku, a do samego zgonu nie zapomnę tej okrutnej przestrogi — jęczała dusza jego, podczas gdy on sam usuwając się na kolana spoglądał ponurym wzrokiem na bladą twarzyczkę, okoloną puklami jasnych loczków...

* * *

Pod wrażeniem zimnej wody, Kazio otwierał zwolna oczki, przytomniał, a z ustek jego wybiegały bezładne sylaby:

— Za... raz... za... raz, ja... ja...

— Jajko?... Będziesz je miał za chwilę! — wołał rozradowany ojciec, chwytając malca w ramiona. — Będziesz je miał... — Tylko powiedz, mój drogi, mój złoty, czy cię nie boli? Tu?... główka... albo tu?...

— Nie... A dlaczego się tatuś pyta? — szczebiotał malec wesoło, powracając do zwykłego humoru, zapomniawszy widocznie o całem wydarzeniu.

— Dlaczego? Mój ty skarbie najdroższy... Pocałuj mnie!...

— A jajko?... dostanę?

— Dostaniesz, i stoliczek taki śliczny, pełen najpyszniejszych przysmaczków. Tylko...

— Tylko...

— Tylko poproś mamusię, żeby zechciała wybrać się z nami... Ona nam najlepiej poradzi... Bez niej radość nie byłaby zupełna...

Z załzawionym wzrokiem podała mu dłonie...

Sercem odczuła, ile przecierpiał, co postanowił w tej niezapomnianej dla obojga chwili...

A przytem jutro Wielkanoc — czas, w którym w imię najświętszych wspomnień należy przebaczać wszelkie urazy, i dzielić się tradycyjnem jajkiem, z sumieniem, wolnem od jadu i goryczy...

Iskra.

Z poematu: „Dni doroczne".

Noc na dworze, — a w kościołku
Uroczyste światła płoną;
Grób Chrystusa oświetlono
Od podłogi do wierzchołku,
Malarz wiejski, prosty, tani,
Wymalował skały, groty,
Wymalował szczyt Golgoty,
I trzy krzyże widne na niej.
Wymalował trzech żołnierzy,
W rzymskim stroju, z twarzą hardą,
Każdy zbrojny halabardą
Ku widzowi groźnie mierzy.
Wymalował trzy Marye,
Co nad grobem Pańskim płaczą;
Choć zorana twarz rozpaczą,
Lecz nadzieja w oczach żyje:
One wierzą, że Bóg wskrześnie...
A lud wiejski, w łzach, żałobie,
Przy Chrystusa klęcząc grobie,
Kantyczkowe śpiewa pieśnie.
I ten prosty naród wierzy
W naszej sprawy zmartwychwstanie...
Lecz nim jasne słonko wstanie,
Wprzód wypłakać się należy...

Władysław Syrokomla.

Wysłannik wiosny.

Była królowa zimy, która mieszkała w wielkim borze, w pałacu świerkowym. Miała ona piękne, białe z puchu śnieżnego szaty, a na głowie koronę z lodu. Była piękną — ale zimną. Czasami uśmiechała się rozkosznie, lecz ten uśmiech zimnem lodowem tchnął i mroził wszystko wokoło.

Królowa była samotną w swoim pałacu i często w pogodne ranki wychodziła do boru, na przechadzkę. Zwykle wtedy, wszyscy mieszkańcy boru oddawali jej hołdy należne.

Raz w niedzielny poranek szła królowa ścieżką między gęstwiną leśną.

Mróz skrzypiał pod jej małemi, w szron odzianemi nóżkami — puchowa szata drżała pod lekkim powiewem wietrzyka, a lodowa korona lśniła, jakby z brylantów w słońca promieniach. Ten blask uroczy odbijał się zimnemi iskierkami w oczach królowej i opromieniał całą jej twarzyczkę.

Szła lekko. Jedną ręką podtrzymywała szaty powłóczyste, a drugą oddawała ukłony mieszkańcom boru. Ptaki na drzewach wesoło świergotały — królowa im uśmiech swój przesłała. Wiewiórka, która była ulubienicą królowej, wyskoczyła z gniazdka i z radością pobiegła do swej pani. Delikatne pogłaskanie królewską rączką nagrodziło dowód przywiązania ładniutkiego zwierzątka.

Królowa szła dalej — a wszystko, co napotkała chyliło się przed nią, a ona uśmiechała się i oddawała ukłony:

Wtem gałęzie zaszeleściły, a królowa cokolwiek przelękła, przytuliła się do smukłej sosny. Łamanie i trzask gałęzi słychać było jeszcze przez chwilę, a potem na tej samej ścieżce, tuż przed królową ukazał się młodzieniec w śnieżyczkach, pierwiosnkach i białych stokrociach. Wzrok jego zachwycony padł ciepłem na postać królowej.

— Ach! jaka urocza! zawołał i podszedł bliżej królowej. — Ktoś ty urocza a tak zimna? — pytał i patrzył w nią uparcie.

Królowa nie odpowiadała, tylko strwożonym wzrokiem spoglądała na młodzieńca. Wtedy on ośmielony zbliżył się jeszcze bardziej i nagle pochylił się, chcąc ucałować usta pięknej; lecz królowa zrozumiawszy chęć zuchwałego czynu, odskoczyła w tył za sosnę. Młodzieniec nie zraził się tem i prawie w tejże chwili królowa uczuła ciepły pocałunek na swem czole, a równocześnie spadła jej z głowy korona lodowa i potłukła się w kawałki.

Królowa ręce załamała i cichym, żałosnym głosem spytała:

— Kto jesteś zuchwalcze?

Młodzieniec wyprostował się i odpowiedział hardo:

— Nazywam się Kwiecień i jestem wysłannikiem wiosny!

Królowa spojrzała na koronę u swych stóp potłuczoną, na swoje utracone państwo i z żalu w łzy się rozpłynęła.

Łzy zimnej królowej, łzy z pod ciepłego pocałunku, rozpłynęły się po całym borze — spłynęły na doliny, na łąki i na pola rozległe, rozpłynęły się daleko — daleko, a na ich śladach zakwitły śnieżyczki, pierwiosnki i stokrocie białe. *Z.*

Modlitwa do Dzieciątka Jezus.

O słodki Jezu! mała Dziecino!
Do Ciebie nasze modlitwy płyną;
Niechaj nam Krzyż Twój drogę rozświeci:
Błagają dzieci!

O Jezu! w pracy gorliwy wielce,
Tyś dopomagał ojcu w ciesielce,
Niech chęć do pracy w nas to roznieci:
Błagają dzieci!

O słodki Jezu! w ubogiej chatce,
Tyś był posłuszny Najświętszej Matce,
Niechże twój przykład w życiu nam świeci:
Błagają dzieci!

O słodki Jezu! w dwunastym lecie,
Tyś podziw wzbudzał nauką w świecie;
Niechże jej promień i na nas zleci:
Błagają dzieci!

O słodki Jezu! cierpienia wzorze!
Tyś Krzyż swój ciężki dźwigał w pokorze,
Daj nam wytrwale stać wśród zamieci:
Błagają dzieci!

O Jezu! któryś z tak wielkim żalem
Bolał i płakał nad Jeruzalem:
Niech miłość kraju łza Twa roznieci,
Wśród polskich dzieci!

Władysław Bełza.

Jeszcze czas i to największy zapisać

„PRACĘ“

na nowy kwartał,

gdyż poczta jest zobowiązana każdemu nowoprzybyłemu abonentowi dostarczyć niniejszy numer wielkanocny.

W obrębie państwa niemieckiego jest *każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany* każdego czasu do przyjęcia abonamentu, który wynosi na kwartał

tylko 1 markę 25 fenygów.

„Praca“ zapisaną jest teraz na poczcie w spisie gazet na rok 1901 pod rubryką: **Abtheilung II t. poln. Nr. 103.**

Uwaga! Przy zamówieniu na poczcie winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zabonować „Pracę“ z Poznania.

Szanownych Czytelników

w Galicyi

i wogóle w Austro-Węgrzech prosimy uprzejmie o łaskawe spieszne nadesłanie abonamentu na nowy kwartał w ilości

2 kor. 30 hal.

wprost do Administracyi „Pracy“, albo też o zaprenumerowanie naszego pisma na tamtejszej poczcie, w którym to razie abonament uczyni

tylko 1 kor. 73 hal.

☞ *Abonentów, otrzymujących „Pracę“ pod opaską, prosimy o odwrotne nadesłanie prenumeraty, w przeciwnym razie już im następnego numeru nie wyślemy.*

Premia.

Kto zjedna choćby tylko jednego abonenta i nadeśle odnośny kwit abonamentowy wraz z własnym kwitem, ten otrzyma tytułem premii, więc *bezpłatnie*

ładną książkę.

Nadzwyczajna premia.

Każdy z Czytelników, który nam zjedna dwóch nowych abonentów i udowodni to kwitami pocztowemi, otrzyma jako premią

piękną powieść historyczną

w trzech tomach,

lub też inne piękne książki.

Premie otrzymają tylko ci abonenci, którzy pozyskali innych nowych abonentów, ci zaś abonenci, którzy zapisali tylko sobie „Pracę“, nie mają prawa do premii.

Początek bardzo zajmującej powieści pod tytułem

„Antysemityzm“

której druk rozpoczęliśmy w trzynastym numerze dostarczymy każdemu nowo przybyłemu abonentowi za nadesłaniem na porto znaczka listowego, dziesięciofenygowego.

Wszystkich tych Czytelników, którzy reklamują u nas zaległe numery „Pracy“, upraszamy o przysłanie na porto znaczka listowego dziesięciofenygowego.

Zwracamy uwagę, że druk numeru kończy się w czwartek, najpóźniej w środę nadesłane muszą być inseraty, które do najbliższego numeru wejść mają.

Numery okazowe wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

Czytelnicy! Nie opuszczajcie „Pracy“ w tej ciężkiej godzinie! Dajcie dowód zdwojonej energii i siły! Z wytrwałością rozszerzajcie pismo nasze, przysparzajcie nam nowych czytelników. Mamy tę ufność i wiarę w Was, że z tej burzy co się nad nami rozszalała te-

raz, wyjdzie „Praca“ zwycięzko i obcym zaimponuje liczbą swych zwolenników!

Prosimy usilnie wyciąć kwit abonamentowy i podać go znajomemu, z gorącą zachętą do przedpłaty. — Niech „Praca“ znajdzie przystęp do każdego domu! Niechby sobie każdy z Czytelników poczytał za obowiązek pozyskania choćby tylko jednego nowego abonenta, a byłoby to najlepszą i najgodniejszą odpowiedzią za nasze cierpienia.

Czytelnicy! Liczymy na Wasze poparcie.

Z TEATRU.

(Srebrny sen Salomei — romans dramatyczny, napisany przez Juliusza Słowackiego.)

Pan *Knapczyński*, którego benefis świetnie się udał — ma niewątpliwą zasługę, że dał sposobność szerszej publiczności poznania jednego z najciekawszych utworów *Juliusza Słowackiego*, romansu dramatycznego w 4 aktach i 9 obrazach „Srebrny sen Salomei.“ — Tak „Ksiądz Marek“ jak „Srebrny sen Salomei“ różnią się jak niebo od ziemi od wszystkiego, co z pod pióra Słowackiego wyszło. Są to utwory z epoki, w której Słowacki całkiem był pod wpływem Towiańskiego, a pod względem formy, np. długich tyrad ulegał hiszpańskiemu dramaturgowi Kalderonowi. Sam poeta w późniejszych latach niechętnie się o tej epoce swej twórczości wyrażał. Poeta w tym okresie *„uczuwał*, jak sam powiada, jakby *mocne pchnięcie od Ducha od pracy* — czyli, improwizował a nurzając się w teoryach Towiańskiego, „przelewał ducha“ w inne naczynia. Są to jednem słowem improwizacye, stąd odbieganie od przedmiotu i pewna nierówność w utworach. Do matki pisał poeta w tym czasie w roku 1844: „Teraz ci powiem droga moja, że ja sobie żadnego z moich utworów wytłómaczyć nie mogę. Nie wiem bowiem skąd przychodzą i dokąd idą.“

Profesor Małecki, pewno najściślejszy badacz ducha utworów Juliusza pisze: „Srebrny sen Salomei“ zdaje się być na pierwsze prostą udramatyzowaną powiastką o dwóch małżeństwach, których dojście do skutku stało się podobno dopiero wskutek różnych nieszczęść i trwóg krajowych, jakie przeszły ówczesnym ludziom nad głowami.

„Dlatego też zatytułował to dzieło swoje poeta *romansem* dramatycznym. Z tem wszystkiem przezierają i tutaj pewne ukryte, zaledwie dostrzeżone intencye głębsze, które ze sprawą tych dwóch małżeństw w przypadkowym tylko zostają związku, a dotyczą najżywotniejszych kwestyi całego społeczeństwa odrodzonego. Gdyby związek między osnową sztuki, stawioną, że tak powiem, na pierwszym planie z temi ideami ogólniejszego znaczenia był wydatniejszy; gdyby te idee, te wieszcze przekonania poety, te sądy o społecznych narodu na zego winach były więcej sformułowane i artystycznie wcielone, gdyby nakoniec nie było ze strony i samej formy tyle powodów do protestu, byłoby to jedno z najznaczniejszych arcydzieł naszych. *Byłby to pomnikowy wyraz wieszczej teodycei.*

„Ale właśnie tej pewnej ręki, tej doskonałej myśli artysty i filozofowania nie widać w śnie Salomei! Są to tylko zarody i błyski genialnego pomysłu, ale do rozprowadzenia tego pomysłu i postawienia go na jaw wszem wobec i każdemu z osobna na nieszczęście nie przyszło.“

Tyle prof. Małecki.

Z pewnością ocena ta jest ścisłą i dobrą, lecz taką ocenę da ten, kto z wielką uwagą wczytuje się w utwór, inaczej rzecz się ma, gdy się utwór widzi na scenie. Najpierw obserwuje widz więcej, niż się zagłębia, powtóre utwór jest przy pomocy reżysera dokrojony do wymagań scenicznych, więc zapomina się szybko o tej lub owej dłuższej tyradzie, lśniącej oprócz tego brylantowemi zwrotami języka Juljusza, i widzi się przed sobą szereg obrazów raz zachwycających nastrojem, to znów wstrząsających zgrozą. Widzi się przed sobą historyą dwóch małżeństw i nic więcej, i głębsze tylko wykolejenie uwagi sprawia Wernyhory wieszcza postać. Dlatego krytycy swoją drogą, a publiczność swoją. Któż nie był na przedstawieniu pod czarem poezyi Juljusza, tych dźwięków mowy ojczystej, ujętych w tak przepyszną formę? Kogoż wreszcie nie wstrząsał dreszcz, gdy przed okiem jego stawały straszne obrazy koliszczyzny?

Juljusz malował je ognistemi barwy, a jednak jeszcze może nie dał nam całej okropności swej epoki.

Powtarzam raz jeszcze: krytycy swoją drogą a publiczność swoją. „Srebrny sen Salomei“ działa na widza i czarem przecudnej formy językowej i nastrojem i prawdą malowanych obrazów.

Na naszej scenie zrobiono wszystko, co mogło się przyczynić do powodzenia sztuki, bo i wystawa była wzorową i dobrą gra artystów. Podziwiałem znowu wybitny talent pani Wysockiej w roli księżniczki. Artystka umiała najzupełniej utrafić w ton kapryśnicy, pewnej powodzenia. Panna Teodorowicz (Salomea) utworzyła wcale wdzięczną całość. Deklamacya p. Krzyżanowskiego (Sawa) robiła wrażenie, a pan Wysocki (Lew) był szczerszym niż zwykle. Bardzo dobrym regimentarzem był pan Jakubowski, dzikość hajdamaki znalazła wybornego przedstawiciela w panu Knapczyńskim. Panowie Szczurkiewicz (Gruszczyński) Turski, Kawicki i Czerniak najzupełniej odpowiedzieli swym rolom. Benefisanta oklaskiwano hucznie i obdarzono kwiatami. Teatr był szczelnie zapełniony.

Widz.

Wiadomości.

— *Alleluja!*

Z tym okrzykiem modlitewnego hymnu związał się od wieków zwyczaj składania życzeń i powinszowań wzajemnych.

Więc „Szczęść Boże!“ wszystkim wiarom krzepkim, wszystkim miłościom czystym, wszystkim nadziejom szlachetnym!

„Szczęść Boże!“ wszystkim ludziom dobrej woli!...

To nasze życzenia wielkanocne. Alleluja!... Redakcya.

Agenturę „Pracy“ na Bruch i okolicę (pow. Recklinghausen w Westfalii) otworzyliśmy w składzie obuwia p. **Ludwika Kubiaczyka w Bruchu, Marienstr. 346 przy kościele katolickim.**

Szan. Rodaków tamtejszych prosimy, aby u p. Kubiaczyka „Pracę“ sobie zamawiali. — Tam można także otrzymać numery okazowe.

Potrzebny nam jest Nr. 28 „Czytelni Polskiej“ z r. 1900 i prosimy Szan. Czytelników, którzy numeru tego nie potrzebują, o łaskawe nadesłanie nam tegoż.

— **Od dyrekcyi** Banku Spółek Zarobkowych otrzymujemy następujący komunikat z prośbą o umieszczenie.

„Ponieważ dochodziły nas skargi od wielu interesentów, że w niektórych miejscowościach urzędy pocztowe nie chciały listów adresowanych do Banku Związku Spółek zarobkowych przyjmować, a zdarzało się nawet, że zmuszano interesentów do przekreślenia polskiej naszej firmy i adresowania listów do dyrektora Banku wprost, przeto udaliśmy się z zażaleniem do cesarskiej naddyrekcyi poczty w Poznaniu. Wskutek tegoż zażalenia otrzymaliśmy dnia 31 marca rb. odpowiedź, że urzędy pocztowe nie mogą wzbraniać się przyjmowania listów adresowanych do sądownie zapisanych firm, choćby te w polskim języku były zapisane.

Odnośna odpowiedź brzmi jak następuje:

Die -Post Anstalten sind angewiesen worden, Postsendungen an Firmen, die in fremder Sprache oder mit fremdsprachigen Zusätzen gerichtlich eingetragen sind, wegen der unverständlichen Aufschrift nicht zu beanstanden.

Na mocy tego prosimy do nas adresować pod firmą:

Bank Związku Spółek Zarobkowych.

Wszakże dla szybszego doręczenia nam listów radzi się, aby miejscowość Poznań wypisywać także po niemiecku, gdyż w przeciwnym razie idą listy do biura tłomaczeń, przez co listy nas później dochodzą.

Poznań, d. 26 marca 1901.

Bank Związku Spółek Zarobkowych.

Dr. Kusztelan.“

— **Na odbudowanie wieży** na Jasnej Górze złożyli w dalszym ciągu pp. Z. W. z Gniezna 1 m., Feliks Powidzki z Hamburga 5 m.

Dotąd zebraliśmy na cel powyższy 440 m. 39 f. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

— **Na fundusz** Janiny Omańkowskiej złożył w dalszym ciągu p. Szczaniecki z Nawry w Pr. Zachodnich. 20 m.

Dotąd zebraliśmy na cel powyższy 423 m. 62 f. Z tej sumy doręczyliśmy Towarzystwu Samopomoc 403 m. 19 f., pozostaje zatem u nas 20 m. 50 fen. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

— **W Srodę** dnia 27 z. m. odbyła się w wyższej szkole żeńskiej p. Estkowskiej uroczystość pożegnania kończących szkołę uczennic wobec zgromadzonego kolegium nauczycielskiego i gości. Profesor religii ks. Gapczyński przemówił w serdecznych słowach, żegnając kończące pensyą uczennice, w ich imieniu zaś przemówiła panna Irena Winiecka.

Nazwiska panien, które ukończyły nauki w wyższej szkole żeńskiej pani Estkowskiej są: Wiktorya Cymińska, Zofia Gajewicz, Zofia Gogulska, Zofia Jasiecka, Franciszka Kostrzewska, Anastazya Klunder, Marya Łaszewska. Jadwiga Mińdak, Anna Siemiątkowska, Aniela Szafarkiewicz, Aniela Urbanowicz, Irena Winiecka, Wincentyna Winiewicz.

— **Spółka Róiników parcelacyjna w Poznaniu** przy ul. Podgórnej nr. 10a podwyższyła procent od depozytów składanych *w jej Kasie Oszczędności* i ma każdego czasu do odstąpienia pierwszo-miejscowe 5cio procentowe hypoteki, które ceduje z gwarancyą za kapitał i procenta. Jest to bardzo dogodny i pewny sposób lokacyi kapitałów.

Bliższych szczegółów doczytają się Szanowni Czytelnicy w odnośnym inseracie pisma naszego.

— **Z miasta.** Znane z swej ruchliwości Towarzystwo „Jedność" urządza, jak się dowiadujemy, w drugie święto wielkanocne przedstawienie amatorskie, połączone z zabawą, z którego część dochodu przeznaczona będzie na cele dobroczynne, jak na Kolonie wakacyjne.

Program wielce obiecujący i bardzo urozmaicony. Publiczność nasza, znana z życzliwości dla naszych Towarzystw, pospieszy zapewne jak najliczniej, tem chętniej, że zdrowie dziatek naszych z pewnością każdego obchodzi mocno, więc groszem swoim przyczyni się do pomnożenia funduszu Kolonii wakacyjnych.

Jak dotąd to zabawy urządzane przez „Jedność" cieszyły się zawsze szczerem poparciem, przypuszczamy przeto, że tym razem jeszcze więcej poparcia Publiczność nasza okaże. Przedstawienie i zabawa odbędzie się na pięknej sali ogrodowej Lamberta.

— **Egzamin.** W gimnazyum Bergera w Poznaniu otrzymało 33 kandydatów świadectwo, uprawniające do służby jednorocznej. Pomiędzy nimi jest 12 Polaków: Codrow Władysław, Hoffmann Bolesław, Kaczmarek Marcin, Król Jan, Maryński Maryan, Potocki Wacław, Przybylski Wacław, Semerau Mściwój, Sieg Nikodem, Szadkowski Jan, Wawrzyniak Franciszek, Wiałecki Stefan.

— **Rodak nasz,** p. Celestyn Rydlewski z Jarocina, młody, skrzętny a dzielny pracownik na niwie narodowej, złożył — jak nam donoszą z Gryfii — egzamin państwowy z odznaczeniem na lekarza dnia 29-go marca. Szczęść Boże!

— **Renomowany** handel żelaza pod firmą „T. Otmianowski" w Poznaniu w Bazarze zaopatrzony jest obficie w pierwszorzędne towary kuchenne i gospodarcze. Na anons zamieszczany stale w „Pracy" zwracamy uwagę Szanownym Czytelnikom.

— **Zwracamy** uwagę na stałe ogłoszenie p. Ig. Wolniewicza, który od lat wielu w Kostrzynie podejmuje wszelkie w zakres pokrywania dachów wchodzące prace na całe W. Ks. Poznańskie. Obecnie założył p. Wolniewicz otwarty skład przy dworcu kolejowym, gdzie prowadzi zapasy artykułów na dachy. — Dzielny ten i ruchliwy przemysłowiec zasługuje ze wszech miar na poparcie. Szczęść Boże!

— **Chełmża** Prusy Zachodnie. W mieście naszem mógłby się osiedlić dentysta Polak; dotąd praktykował tu z dobrem powodzeniem dentysta Etten, Niemiec; tenże wyprowadza się do Pomeranii.

— **Gostyń** 31. 3. 1901. Dzień 30 marca b. r. był dla nas dniem smutku i żalu, w tym dniu bowiem, opuszczał parafią naszą, czcigodny i od wszystkich ukochany wikaryusz ks. Władysław Kiiński. Jakkolwiek był u nas bardzo krótki czas, bo zaledwie cztery miesiące, a już umiał sobie zjednać serca wszystkich parafian. Bo też to był kapłan przykładny wedle słowa Bożego. Niezmordowany w pracy w kościele i po za kościołem, jako kaznodzieja swemi wymownemi usty porywał i przykuwał serca wszystkich słuchaczy. Jego to zasługą, iż Towarzystwo przemysłowców do życia na nowo powołał, które od kilku lat leżało w letargu. Miło też było patrzeć jak w niedzielę po nieszporach w swojem pomieszkaniu, zajmował się dziatwą rozdając jej książeczki polskie do czytania. To też żal ogólny pozostawia po sobie. Straciliśmy w Nim prawdziwie gorliwego nie tylko kapłana, ale również i patryotę.

Żegnamy Cię przeto ukochany, zacny ks. Dobrodzieju z życzeniem, aby nadal Bóg błogosławił Twej pracy, oby w tej nowej parafii pokochali Cię tak jako i my.

Jeden w im. wszystkich.

---

*— **Do dzisiajszego** numeru dołączamy karty pocztowe z życzeniem „Wesołego Alleluja", z uprzejmą prośbą, aby je Szanowni Czytelnicy zużyć zechcieli w celu zjednania nam nowych abonentów przez rozesłanie tych kart pomiędzy krewnych, przyjaciół i znajomych. Ponieważ za każdą kartę dołączoną płacimy poczcie 1 fenyg, przeto kto dołączonej karty nie wyśle do znajomego, ale ją zniszczy, ten nas krzywdzi, a jest to dla nas krzywda już znaczna, gdyż całe wydawnictwo „Pracy" oparte jest właśnie na tych paru fenygach. Prosimy też tych kart nie przysyłać do nas, jak to często bywa, tylko do kupca, krewnego lub znajomego, gdyż tylko w tym celu owe karty dołączamy. Prosimy raz jeszcze usilnie nie zniszczyć karty, ale wysłać takową znajomemu.*

Ustawiczne śledztwa i procesy wyrządzają nam prócz wielkich cierpień fizycznych i moralnych za kratami więzienia także wielkie szkody materyalne, wobec czego Czytelników, Przyjaciół i Zwolenników naszych prosimy, aby zechcieli zjednywać nam liczne nowe zastępy przedpłacicieli tak na „Pracę" jak też na „Czytelnię Polską."

Prosimy o rozpowszechnienie „Pracy" i „Czytelni Polskiej" wszędzie, przy każdej sposobności i na każdym kroku, gdyż tylko w ten sposób możemy dać godną i należytą odprawę „naszym najserdeczniejszym", którzyby nas chcieli zmieść z oblicza ziemi.

Od Redakcyi.

P. Fr. Siekierski Zielonagóra. Numerów z ubiegłego kwartału nie mamy.

P. W. Walkowiak Prosna. Cały nakład Nr. 9 „Pracy" znajduje się w gmachu tutejszej dyrekcyi policyi.

Pani T. M. w Mchach. Wydawnictwo „Pracy" ma introligatornią tylko dla własnego użytku.

Panu W. W. w Wągrówcu. Pierwsza część listu zawiera wiadomość już spóźnioną, a druga część należy do działu reklam. Niech ów dom wysyłkowy anonsuje w „Pracy", a chętnie interes ten polecimy.

Towarzystwu polskich kupców w Katowicach. Za przysłane nam braterskie pozdrowienie z fotografią członków dziękujemy najserdeczniej.

Panu Józefowi M. w Rgielsku. W handlu żelaza T. Krzyżanowskiego w Poznaniu, ul. Szewska. Co do drugiej sprawy zgadzamy się i przyślemy „Krwawe ofiary."

A. M. Polak na obczyźnie. — W księgarni St. Cybulskiego w Poznaniu, św. Marcin.

Panu W. W. w Ostrzeszowie. Sprawa ta należy do działu inseratów. Wobec nawału pracy redakcya takiemi sprawami, przyjmowaniem listów, informacyi itp. zajmować się nie może mimo najszczerszej chęci.

Panu L. K. w Bninie. Nie wiemy. Poinformuje Pana najlepiej Redakcya „Czasu" w Krakowie.

Krotoszyniakowi. Pan Preiss, nauczyciel buchalteryi w Poznaniu, przy ul. Wiedeńskiej nr. 1 III poda Panu w tej sprawie bliższe informacye.

Panu Czesławowi K. w Pelplinie Najlepszą i najpewniejszą odpowiedź da Panu Redakcya „Echa Muzycznego" w Warszawie, Krakowskie Przedmieście nr. 66.

Szarada do nagrody. *)

Pierwsza, piąta droga, zawsze lepszą bywa,
A drugie i trzecie, alfabet ukrywa.
Piąte czwarci, ludzie, przeżyli czas długi,
Cały z swego fachu, jest nam na usługi.

*) Przeznaczamy za dobre rozwiązanie jedną nagrodę tj. książkę wartościową. Los roztrzygnie komu nagroda wyznaczoną będzie. Rozwiązania przyjmujemy do niedzieli przewodniej, dnia 14-go bm. włącznie. Dla oszczędzenia portoryum prosimy nadsyłać rozwiązania na kartach pocztowych.

---

w Prusach Zachodnich:

w *Pr. Starogardzie* w księgarni p. *Nowaka*,

w *Czersku* w księgarni pana *Leona Zyndy*,

na Górnym Śląsku:

w *Opolu* w ekspedycyi „*Gazety Opolskiej*“,

w *Król. Hucie* w księgarni p. *J. Mateja* przy ul. Puddlera 30. i u p. *Jana Szeja* przy ul. Hajduka,

w *Rożdzieniu* u p. *Franciszka Richtera* w domu p. Walitza naprzeciw kościoła farnego i u p. *Jana Badury* przy ul. Bogufała — Fraugottstr. nr. 10,

w *Bogucicach* u p. *Franciszka Marcola*,

w *Janowie* przy Mysłowicach u p. *A. Spiera*,

w *Godullahütte* p. Morgenroth u p. *Michała Bromma*,

w *Rudzie* przy Biskupicach u p. *Józefa Białasa*,

w *Rozbarku* p. Bytomiem w księgarni p. *Glazowskiego*,

w *Katowicach* w księgarni p. *Antoniego Stoca*, obok domu towarowego Bobreka,

w *Dorocie* p. Zabrze u p. *Michała Blachuta* ul. Polna 6,

w Westfalii:

w *Bankau* p. Gelsenkirchen u p. *Michała Wojciekiewicza* Kraugestr. 48,

w *Bruch* pow. Recklinghausen u p. *Ludwika Kubiaczyka*, mistrza szewskiego, Marienstr. 346 przy kościele katolickim,

w *Botropp* u p. *Ludwika Procek*.

W wszystkich tych agencyach „Pracę“ i „Czytelnię Polską“ od każdego czasu zaabonować można.

HUMORYSTYKA.

Toast wielkanocny.

O panowie! niech los w dani
Przynosi nam dużo zysku:
Bądźmy zdrowi i rumiani,
Jak ta szynka na półmisku.

Człek na radość sieć zarzuca,
Ale smutki zwykle łowi,
Niech spokoju nic nie skłóca
Nam — jak temu indykowi.

Niechaj każdy będzie syty,
Zdrów i wesół — i nie słaby
Miejmy wygląd znakomity,
Jak te placki oraz baby.

Niech nie znęca się nad nami
Los chorobą, ani zgonem,
Jak naprzykład my dziś sami
Znęcamy się nad święconem.

Na ostatek wasz poeta
Śle życzenia tej godziny:
Niech obejdzie się ta feta
Bez dostojnej... medycyny.

Kiełbasa.

(Tercyny.)

I naliczyłem: kręgów siedem było...
Coraz to mniejsze ku środkowi biegły,
Kędy się jajko, jak wzgórek bieliło.

I na tych kręgach oczy moje legły,
I to wyznaję, że mi było miło
Widok tych kręgów oglądać rozległy.

Oj! bo nie były to piekielne kręgi,
Po których błądził Dant na dziwy łasy:
Były to złote, zrumienione wstęgi

Wędzonej, lśniącej litewskiej kiełbasy
I biegły po niej refleksy i pręgi,
A całość była niezrównanej krasy.

Mazurek wielkanocny.

Hej, mazurek wielkanocny
Ma przeróżne zwrotki,
Lecz sens zawsze ich jednaki:
Słodki, słodki, słodki.

Z marcepanu, czekolady,
Masy lub szarlotki
Jest mazurek ten przedziwny
Słodki, słodki, słodki.

*



Baba.

(Sonet.)

Babo, o babo przedziwnego smaku!
Zdobi cię lukier różanymi wzory,
Kolorowego nie szczędzono maku,
I w czub ci wpięto pęk bukszpanu spory.

Lekkaś, że dmuchnąć i nie będzie smaku,
Wskróś cię przejęły pachnące wapory,
I nikt w perfekcyi twej nie znajdzie braku,
Choćby to krytyk był zaiste skory.

„Jako puch jesteś“ — tak wyrzekł poeta,
Który na babach znał się także przecie,
A ja to stwierdzam i wierzę poecie,

Bowiem największa dziś baby zaleta,
A dla gospodyń chluba i podnieta,
Gdy skosztowawszy: „jak puch!“ im po-
[wiecie.

W aptece prowincyonalnej.

— Proszę proszków!
— Jakich?
— Białych.
— Białe są rozmaite. A na co?
— Na boleści. Ja już brałem te proszki.
— Kiedy?
— 12 lat temu.
— ....!?

Na kolei w Galicyi.

Scena w wagonie klasy III-ej.

Konduktor. Panie, pan zbił szybę!

Pasażer semita. Ona sobie troszkę pękniuła.

Konduktor. Proszę zapłacić 1 guldena.

Pasażer po długich targach płaci.

Inny pasażer (po odejściu konduktora). Oni z tą szybą będą jeszcze z 10 lat jeździć.

Pasażer semita. Masz pan racyę, ja ją zbiję do reszty (uderza laską). Aj aj! co to jest!?

Inny pasażer. Nic; tam była druga jeszcze szyba, zwyczajnie jak w zimie.

Pasażer semita. To pan będziesz płacił!.. aj waj! rozbój!

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ **Wincenty Szmytkowski.**

Parcelacya.

Trzy gospodarstwa po 70—90 morgów z budynkami mieszkalnemi i zasiewami są **zaraz** do sprzedania. Również jest na sprzedaż **„Restgut“** około 350 morgów z bardzo dobrymi zabudowaniami. Ziemie wydrenowane z łąkami w położeniu wybornem, przy stacyi koleji Biskupiec blizko Poznania. Mleczarnia na miejscu. Celem obejrzenia przyjmuje zgłoszenia gospodarz **Kawczyński** w Biskupicach (Bez. Posen). Na życzenie udzieli informacyi listownych 189

Bank Ziemski

Poznań, ulica Wiktoryi nr. 2.

Jako zastępca

pierwszorzędnej fabryki kół



Excelsior w Brandenburgu

polecam szanownym Rodakom koła, tylko rzeczywiście dobre fabrykaty pod jednoletnią gwarancyą w jak najtańszych cenach i przysyłam na żądanie cennik z objaśnieniem, z którego można widzieć, że koła **„Excelsior“** najlepsze, a w tym stosunku najtańsze są. 196

Z szacunkiem

Jan Orlicki w Brandenburgu

(Brandenburg a/H., Gr. Gartenstr. 59 a).

NB. Mam kilka przeszłoletn. kół, które według tego jeszcze wiele taniej sprzedam.

Odpowiednie techniczne siły i gwarancye.

J. Wolniewicza

w Kostrzynie

interes wysyłkowy pokrywania dachów.

Pokrywania wież, kościółów, pałacy łupkiem, we wszelkich kolorach i modelach, plaską, okrągłą, zakładową (falz) dachówką, metalem i gontami.

Łupek czeski, niemiecki, angielski, papę, smołę, splisy, gąsiory na składzie.

Dostarcza własne materyały. 198

Kosztorysa i rewizye dachów.

Długoletnia *samodzielna* praktyka na całe Księstwo. Na życzenie wysełam dowody z krycia pałacy i kościołów.

„Gazeta Olsztyńska.“

Pismo ludowe katolicko-polskie

wychodzi już rok szesnasty **w Olsztynie** (Allenstein) na **Warmii.**

„Gazeta Olsztyńska“ jako pismo na kresach wychodząca, ma do zwalczania trudności różnego rodzaju, jakie jej stawiają germanizatorzy różnych odcieni. Dla tego potrzebuje „Gazeta Olsztyńska“ poparcia jak najliczniejszem abonamentem, aby skutecznie działać mogła dla tej tu na pół zapomnianej braci naszej, tak bardzo potrzebującej opieki i pomocy moralnej przeciw zalewającemu ją germanizmowi. Rodaków naszych w dalszych stronach upraszamy o łaskawe poparcie zapisaniem sobie „Gazety Olsztyńskiej“, choćby na jeden lub kilka kwartałów, aby utrzymać pisemko tu tak potrzebne i wśród najtrudniejszych okoliczności się wyrabiające.

„Gazeta Olsztyńska“ wychodzi trzy razy na tydzień: co wtorek, czwartek i sobotę, a kosztuje **kwartalnie na wszystkich pocztach 1 markę.**

Z wysokim szacunkiem

Ekspedycya „Gazety Olsztyńskiej“
Olsztyn (Allenstein Ostpr.)

Przegląd Kucharski

illustrowany dwutygodnik, poświęcony sztuce kulinarnej i gospodarstwu, podaje również nowe praktyczne przepisy z dziedziny kucharstwa, cukiernictwa, piekarstwa itd. Cena kwartalnie z przesyłką **1,80 mk.**

Pismo to jedyne polskie w tym rodzaju powinno się znajdować w każdym domu polskim. Prenumeratę przyjmuje 192 **Drukarnia i Księgarnia Ś. Wojciecha** w Poznaniu.

Ogród,

obejmujący 6 mórg wzorowo utrzymywanych plantacyi truskawek, szparagów, oraz 133

szkółkę

drzew owocowych

z składem kolonialnym

w wielkiej wsi, zabudowania nowe, jest zaraz lub później do nabycia. Egzystencya pewna. Zgłoszenia przyjmuje Eksp „Pracy“ pod lit. W. Nr. 133.

Ogiery

wałachy i konie z wypuklinami operują się, na żądanie się zabezpiecza. Na pytania poprzednie odwrotnie się odpowiada. **Silkeborg** w Jutlandyi (Dania). **F. Winter,** weterynarz (specyalista). 180

Do pracowni krawieckiej **A. Szymkowiaka** w Katowicach, przy ul. Andrzeja nr. 2, potrzeba 182

3 pomocn. krawieckich

Polaków. Zgłaszającym się z dalszych stron połowa podróży po przybyciu będzie zwróconą.

Ucznia 185

syna porządnych rodziców, z dobrem szkolnem wykształceniem, przyjmę do mego handlu żelaza, towarów kolonialnych, cygar, wyszynku wódek i win od 1 kwietnia lub później. Zgłosz. proszę adresować **W. Markiewicz,** Janówiec (Janowitz i. P.).

Chłopca

silnego i uczciwego przyjmie w naukę 17

Fr. Rosa,
pierwszorzędna piekarnia
w Krotoszynie.

Z powodu śmierci męża jest zaraz do sprzedania 193

folwark

350 mórg pszennej ziemi z kompletnym żywym i martwym inwentarzem, dobrymi budynkami i cegielnią, 2 km. od miasta. Zaliczki potrzeba 40,000 mk. 193

Siudowska,
Strużal pod Chełmżą
(Culmsee W./Pr)

Agent towarzystwa ubezpieczeń na życie, obrażony przez klienta:
— Dziękuj pan Bogu, żeś się u mnie ubezpieczył; w przeciwnym razie żądałbym satysfakcyi!

Butelka 1,50 m.

Złotym medalem prem. środek w Berlinie w r. 1896.

Podagrę, darcie w kościach, łupanie w głowie

itp. usuwa się zaraz skutecznie przez nacieranie

Esencyą z kasztanów

666 wyrabianą przez

Ludwika Dwersteg jun., Borghorst i. W.

Do nabycia w aptece **J. Jasińskiego,** Poznań, Stary Rynek 75, naprzeciw odwachu. Telef. nr. 1190.

Liczne świadectwa.

Zakład pracy domowej

w Śremie (Schrimm)

przyjmuje nowe **uczennice** 15 kwietnia r. b. za poprzedniem zameldowaniem. 160

Prospekty na żądanie rozsyła przełożona

Szczerbińska.

Kilku pomocników

krawieckich

przyjmie na stałe zajęcie i wysoką płacę

Wojciech Samarzewski,

mistrz krawiecki, 164

Król. Huta G. S., Königshütte O/S. Wasserstr. 20.

HOTEL

mój w dobrym biegu, jedyny w miejscu, z salą, ogrodem, kręgielnią i stajniami (wszelkie budynki w najlepszym stanie) z całkowitem urządzeniem, oraz 194

cegielnią,

dobrze się rentującą, w najlepszym porządku, mam zamiar z powodu podeszłego wieku od zaraz lub później pod dogodnemi warunkami sprzedać.

H. Marcus w Sulmierzycach.

Młody inteligentny kupiec, właściciel dobrze prosperującego interesu, szuka dla braku znajomości dam

towarzyszki życia.

Panny, posiadające odpowiedni majątek, zechcą swe oferty wraz z życiorysem do Ekspedycyi „Pracy“ pod lit. **W. Nr. 146** złożyć.

Dyskrecya rzecz honoru.

Dla Pań,

chcących wyjść zamąż!

Rządzca, kawaler w średnim wieku, miły w obejściu, z dobrą egzystencyą, posiadający kilka tysięcy marek, z braku znajomości pań poszukuje 190

towarzyszki życia.

Panny lub młode wdówki, z odpowiednim posagiem, własnością ziemską lub też miejską raczą się z całem zaufaniem zgłosić z załączeniem fotografii do ekspedycyi „Pracy“ pod lit. **P. N. nr. 190.**

Dyskrecya rzecz honoru.

Młody nauczyciel

poszukuje 191

towarzyszki życia.

Młode panny lub młode wdówki raczą się z całem zaufaniem pod dyskrecyą honoru zgłosić do ekspedycyi „Pracy“ pod lit. **S, nr. 191** z załączeniem fotografii.

Ojciec, przeglądając cenzurę syna:

— Przy twoich zdolnościach, mógłbyś mieć lepsze stopnie, tymczasem widzę tu same trójki.

Syn: — Tatko zawsze mówi, że złoty środek jest najlepszy.

15 tys.

biednych współbraci, a między nimi znaczna część rodaków twoich proszą cię, kochany czytelniku, w tym czasie postnym o jałmużnę 129

na budowę kościoła Panny Maryi w Berlinie.

Spiesz im w pomoc, a Matka Najśw. stokrotnie ci nagrodzi! Za każdy dar przyjmij już naprzód serdeczne „Bóg zapłać!"

Ks. Jeder,

Berlin S. O., Wrangelstr, 84.

W sądzie.

Sędzia: — Wiek pani?

Swiadek: — Zostawiam to uznaniu pana sędziego.

Clara pacta.

— Więc ileż pani córeczka będzie miała posagu?

— Właściwie posagu żadnego, ale talent...

— To też mój syn właściwie się z nią nie ożeni, ale szacunek dla jej talentu zawsze zachowa...

Proszę się przekonać!

Specyalny interes artykułów męzkich

Rękawiczki! Krawaty! Kapelusze!

Bieliznę męzką

biała i kolorową

(zamówienia podług miary uskutecznia się w 12 godzinach). 177

Parasole, laski, biżuterye i t. d.

poleca w gustownym i wielkim wyborze po każdej cenie.

J. Fischbach,

Wrocławska 41 — 3 skład od rynku.

Proszę się przekonać!

Tanie książki ludowe!

Dwie drogi, Trzęsienie ziemi, Trupia wieża, Krwawa dola, Dwie wilie, Dwaj bracia, Modlitwa za Bismarka, Anzelm w tureckiej niewoli, Jak w Poznaniu bies Szweda porwał i Wierność i litość. 10 tych książek daję za 3,25 M. franko i piękny herbik w dodatku. Zamiast powyższych zortuję innych 10 pięknych powieściowych książek ze 3,25 M. Polecam mianowicie: Feryda zemsta arabki, Pan Starosta, Bernard i Sabina, Zbrodnia i pokuta. Nałęcze i Grzymalici, Walka przesądów, Nad przepaścią, Niegodna, Kurpie, Czerwony pająk i Bratobójca po 60 fen. Wszystkie 11 grubych książek prześlicz. powieści daję za za 5,50 M. franko! Potem obszerne dzieła: Pojata córka Lezdejki 4 wielkie tomy 4 M. Straszna tajemnica 2 tomy 2 M. Jan z Tęczyna 2 tomy 2 M. Sprzysiężeni 6 tomów 3,50 M. Rozstajne drogi 1,50 M. Mądry Wach 1 M. Estetyka popularna 2 M. Kosynierzy 2 M. Jerzy Jaszczur Bażeński 2 M. Pod berłem Jagiellonów 2 M. Rzeź galicyjska 1,50 M. Z kryjówek ubóztwa 1,50 M. W sieci życia 1 M. i Powieści serbskie 1 M. Wreszcie polecam: Spiewniki kościelne i narodowe, wielkie, średnie i małe, Książki do nabożeństwa różne, elementarze, wielki wybór kart z widokami i różne książki powieściowe. Sprowadzam na żądanie także wszelkie inne nakłady. Zamawiać pod adresem:

Fr. Wiśniewski, Mogilno (Pr. Posen.)

Ps. „Krzyżacy“ są jeszcze do nabycia, lecz tylko oprawne po 4,50 M. porto 30 fen. do Galicyi 50 fen.

Nowy kurs — bardzo prakt. poj. i podwójnej

buchalteryi,

stenografii itd. 1-go kwietnia r. b., lekcye w dzień 2—4 godzin i wieczór. Paniom i panom na prowincyi polecam t. zw. listową buchalteryą. Prospekt gratis. 170

F. Mellin,

Poznań, Wielkie Garbary Nr. 14 I.

nauczyciel handlowy.

Utrzymanie pewne!

Przez lat 14 z wielkiem powodzeniem prowadzony

skład stroi i towarów krótkich,

z zapisaną firmą handlową w mieście 25,000 mieszk. jest z powodu choroby **natychmiast** do sprzedania. 128

Nowości na sezon już zakupione.

Zaliczki potrzeba 10,000 mk. Bliższe wiadomości w Eksp. „Pracy“ pod lit. M. Nr. 128.

Natrętny konkurent:

— Jakie instrumenty muzyczne pani najwięcej lubi?

— Wszystkie, panie, oprócz cymbałków.

Najdelikatniejszy **ser harceński**, 100 szt. 3 m., delik. tłusty **ser śmietankowy** 10 funt. 6 m. fr. **Nietz,** pos. par. mleczarni, Schleusenau-Bromberg. 158

Ucznia

do handlu i fabryki papierosów przyjmie zaraz

Heliodor Kubacki,

Breslau, 167

Scheitnigerstrasse 19/21.



Instrumenta muzyczne

wszelkiego rodzaju z pierwszej ręki z fabryki

Herm. Oskar Otto

Markneukirchen Nr. 610

Wielki wybór.

Główny katalog illustrowany gratis i franko. 47

Farbiernia

i chemiczna pralnia

Gustawa Schaera

w Poznaniu.

Fabryka Poznań W. 6, ul. Forteczna 39.

Skład św. Marcin 14,

poleca się do chemicznego czyszczenia i farbowania wszelkiej odzieży prutej lub też w całości, oraz do prania pluszów, aksamitów i piór, portyer i t. d. 558

Konwie

(20 litr. po Mr. 9,50) do transportowania mleka, **separatory, maszyny do masła** oraz wszelkie sprzęty do mleczarń.

Szafy

żelazne z stalowym pancerzem, ***specyalne dla kas kościelnych,*** kasety stalowe, szafki do wmurowania. 181

Łóżka

żelazne dla dorosłych i dzieci, umywalki, ***szeslongi od M. 20,00*** począwszy poleca

T. Otmianowski

Poznań — Bazar.

Dostawa franko do każdej stacyi kolejowej.

Ciotka: — Masz oczy zaczerwienione, pewnie znowu po jakiej hulance?

Siostrzeniec: — Bo mi się na płacz zbiera gdy pomyślę, że muszę mieć gwałtownie tysiąc rubli. O! gdyby mi ciotka pożyczyła, zarazby łzy znikły.

Ciotka: — jeśli na mnie liczysz, to twoje łzy będą wieczne, bo nie mam tak kosztownej chusteczki, na ich obtarcie.

W większem powiatowem mieście Prus Zach. z sądem ziemiańskim i gimnazyum jest do sprzedania 195

skład kolonialny

połączony

z destylacyą

z obrotem rocznym przeszło 900,000 M. Warunki kupna i opłaty nader korzystne. Reflektanci raczą się zgłosić do Ekspedycyi „Pracy“ pod lit. **P.** nr. 195.

Korzystna posada w Krakowie

dla osoby inteligentnej (czy to mężczyzna czy kobieta), umiejącej dobrze po niemiecku i jeżeli można po francuzku, mogącej pożyczyć do interesu, w którym pracować będzie, najmniej 6000 marek gotówką na 7 proc.

Zgłoszenia przyjmuje ekspedycya „Pracy“ pod lit. **M. nr. 163.**

Prosimy odciąć.

Powyższą kartkę prosimy odciąć i z dołączeniem 60 fenyg. posłać na pocztę.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das beg. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

CZYTELNIA POLSKA

Abtheilung II t. poln. 14.

für 60 Pfennige.

(Imię i nazwisko): ....

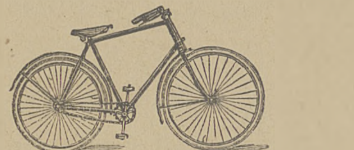
(Mieszkanie): ....

Obiege 0,60 Mark erhalten zu haben bescheinig

.............................., *den* ....

Kaiserl. Post ....

Jako zastępca
pierwszorzędnej fabryki kół



Excelsior w Brandenburgu

polecam szanownym Rodakom koła, tylko rzeczywiście dobre fabrykaty pod jednoletnią gwarancyą w jak najtańszych cenach i przysyłam na żądanie cennik z objaśnieniem, z którego można widzieć, że koła **„Excelsior“** najlepsze, a w tym stosunku najtańsze są. 196

Z szacunkiem

Jan Orlicki w Brandenburgu
(Brandenburg a/H., Gr. Gartenstr. 59 a).
NB. Mam kilka przeszłoletn. kół, które według tego jeszcze wiele taniej sprzedam.

Butelka 1,50 m.

Złotym medalem prem. środek w Berlinie w r. 1896.
Podagrę, darcie w kościach, łupanie w głowie
itp. usuwa się zaraz skutecznie przez nacieranie
Esencyą z kasztanów
666 wyrabianą przez
Ludwika Dwersteg jun., Borghorst i. W.
Do nabycia w aptece **J. Jasińskiego,** Poznań, Stary Rynek 75, naprzeciw odwachu. Telef. nr. 1190.

Liczne świadectwa.

Jeszcze gorzej.

Bankier do artysty. Wyobraź pan sobie, że ze dwa lata nie byłem w teatrze.

Artysta do bankiera. Ja jeszcze gorzej mój panie. Od pięciu lat noga moja nie postała w banku.

Odpowiednie techniczne siły i gwarancye.

J. Wolniewicza
w Kostrzynie
interes wysyłkowy pokrywania dachów.

Pokrywania wież, kościółów, pałacy łupkiem, we wszelkich kolorach i modelach, płaską, okrągłą, zakładową (falz) dachówką, metalem i gontami.

Łupek czeski, niemiecki, angielski, papę, smołę, splisy, gąsiory na składzie.

Dostarcza własne materyały. 198

Kosztorysa i rewizye dachów.

Długoletnia *samodzielna* praktyka na całe Księstwo. Na życzenie wysełam dowody z krycia pałacy i kościołów.

„Gazeta Olsztyńska.“
Pismo ludowe katolicko-polskie

wychodzi już rok szesnasty **w Olsztynie** (Allenstein) na **Warmii.**

„Gazeta Olsztyńska“ jako pismo na kresach wychodząca, ma do zwalczania trudności różnego rodzaju, jakie jej stawiają germanizatorzy różnych odcieni. Dla tego potrzebuje „Gazeta Olsztyńska“ poparcia jak najliczniejszem abonamentem, aby skutecznie działać mogła dla tej tu na pół zapomnianej braci naszej, tak bardzo potrzebującej opieki i pomocy moralnej przeciw zalewającemu ją germanizmowi. Rodaków naszych w dalszych stronach upraszamy o łaskawe poparcie zapisaniem sobie „Gazety Olsztyńskiej“, choćby na jeden lub kilka kwartałów, aby utrzymać pisemko tu tak potrzebne i wśród najtrudniejszych okoliczności się wyrabiające.

„Gazeta Olsztyńska“ wychodzi trzy razy na tydzień: co wtorek, czwartek i sobotę, a kosztuje **kwartalnie na wszystkich pocztach 1 markę.**

Z wysokim szacunkiem
Ekspedycya „Gazety Olsztyńskiej“
Olsztyn (Allenstein Ostpr.)

Przegląd Kucharski

illustrowany dwutygodnik, poświęcony sztuce kulinarnej i gospodarstwu, podaje również nowe praktyczne przepisy z dziedziny kucharstwa, cukiernictwa, piekarstwa itd. Cena kwartalnie z przesyłką **1,80 mk.**
Pismo to jedyne polskie w tym rodzaju powinno się znajdować w każdym domu polskim. Prenumeratę przyjmuje 192
Drukarnia i Księgarnia Ś. Wojciecha
w Poznaniu.

Utrzymanie pewne!

Przez lat 14 z wielkiem powodzeniem prowadzony
skład stroi i towarów krótkich,
z zapisaną firmą handlową w mieście 25,000 mieszk. jest z powodu choroby **natychmiast** do sprzedania. 128
Nowości na sezon już zakupione.
Zaliczki potrzeba 10,000 mk. Bliższe wiadomości w Eksp. „Pracy“ pod lit. M. Nr. 128.

Najdelikatniejszy **ser harceński**, 100 szt. 3 m., delik. tłusty **ser śmietankowy** 10 funt. 6 m. fr. **Nietz,** pos. par. mleczarni, Schleusenau-Bromberg. 158

Ucznia

do handlu i fabryki papierosów przyjmie zaraz
Heliodor Kubacki,
Breslau, 167
Scheitnigerstrasse 19/21.



Instrumenta ***muzyczne***
wszelkiego rodzaju
z pierwszej ręki
z fabryki
Herm. Oskar Otto
Markneukirchen Nr. 610
Wielki wybór.
Główny katalog illustrowany gratis i franko. 47

Farbiernia
i chemiczna pralnia
Gustawa Schaera
w Poznaniu.
Fabryka Poznań W. 6, ul. Forteczna 39.
Skład św. Marcin 14,
poleca się do chemicznego czyszczenia i farbowania wszelkiej odzieży prutej lub też w całości, oraz do prania pluszów, aksamitów i piór, portyer i t. d. 558

Z powodu śmierci męża jest zaraz do sprzedania 193

folwark

350 mórg pszennej ziemi z kompletnym żywym i martwym inwentarzem, dobremi budynkami i cegielnią, 2 km. od miasta. Zaliczki potrzeba 40,000 mk. 193
Siudowska,
Strużal pod Chełmżą
(Culmsee W./Pr)

Konwie

(20 litr. po Mr. 9,50) do transportowania mleka, **separatory, maszyny do masła** oraz wszelkie sprzęty do mleczarń.

Szafy

żelazne z stalowym pancerzem, *specyalne dla kas kościelnych,* kasety stalowe, szafki do wmurowania. 181

Łóżka

żelazne dla dorosłych i dzieci, umywalki, *szeslongi od M. 20,00* począwszy poleca

T. Otmianowski

Poznań — Bazar.
Dostawa franko do każdej stacyi kolejowej.

Tanie książki ludowe!

Dwie drogi, Trzęsienie ziemi, Trupia wieża, Krwawa dola, Dwie wilie, Dwaj bracia, Modlitwa za Bismarka, Anzelm w tureckiej niewoli, Jak w Poznaniu bies Szweda porwał i Wierność i litość. 10 tych książek daję za 3,25 M. franko i piękny herbik w dodatku. Zamiast powyższych zortuję innych 10 pięknych powieściowych książek ze 3,25 M. Polecam mianowicie: Feryda zemsta arabki, Pan Starosta, Bernard i Sabina, Zbrodnia i pokuta. Nałęcze i Grzymalici, Walka przesądów, Nad przepaścią, Niegodna, Kurpie, Czerwony pająk i Bratobójca po 60 fen. Wszystkie 11 grubych książek prześlicz. powieści daję za za 5,50 M. franko! Potem obszerne dzieła: Pojata córka Lezdejki 4 wielkie tomy 4 M. Straszna tajemnica 2 tomy 2 M. Jan z Tęczyna 2 tomy 2 M. Sprzysiężeni 6 tomów 3,50 M. Rozstajne drogi 1,50 M. Mądry Wach 1 M. Estetyka popularna 2 M. Kosynierzy 2 M. Jerzy Jaszczur Bażeński 2 M. Pod berłem Jagiellonów 2 M. Rzeź galicyjska 1,50 M. Z kryjówek ubóztwa 1,50 M. W sieci życia 1 M. i Powieści serbskie 1 M. Wreszcie polecam: Śpiewniki kościelne i narodowe, wielkie, średnie i małe, Książki do nabożeństwa różne, elementarze, wielki wybór kart z widokami i różne książki powieściowe. Sprowadzam na żądanie także wszelkie inne nakłady. Zamawiać pod adresem:

Fr. Wiśniewski, Mogilno (Pr. Posen.)

Ps. „Krzyżacy“ są jeszcze do nabycia, lecz tylko oprawne po 4,50 M. porto 30 fen. do Galicyi 50 fen.

Podciągi (tragarze)
filary, okna
i wszelkie inne artykuły do budowli
poleca 35
w wielkim wyborze
i po przystępnych cenach
T. Krzyżanowski,
Poznań,
Szewska ul. Nr. 17.

HOTEL

mój w dobrym biegu, jedyny w miejscu, z salą, ogrodem, kręgielnią i stajniami (wszelkie budynki w najlepszym stanie) z całkowitem urządzeniem, oraz 194

cegielnią,

dobrze się rentującą, w najlepszym porządku, mam zamiar z powodu podeszłego wieku od zaraz lub później pod dogodnemi warunkami sprzedać.

H. Marcus w Sulmierzycach.

Piękne za nadobne.

On (z dumą). Ja nigdy na kobiety nie patrzę!...

Ona (skromnie). Prawdopodobnie odwdzięcza się im pan pięknem za nadobne.